N. 44. WARSZAWA d. 23 Października (4 Listopada) 1871 ROKU.

TYGODNIK MOD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: *w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50.— Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15. —w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwart. złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia Nr. 956* (nowy 6) *dom narożny przy targu.*

O KOBIETACH UBOGICH

PRZEZ

PANNĘ DAUBIÉ

(LA FEMME PAUVRE)

dzieło przejrzane

przez **Elizę Orzeszkową.**

(Dalszy ciąg).

„Jeżeli ktokolwiek przeciw faktom wymienionym w zeszłym numerze, i na ich usprawiedliwienie wystawi zarzut, że kobiety nauczycielki nie umieją tak jak mężczyzni nauczyciele po grecku i po łacinie odpowiemy, iż posiadłyby umiejętność tę niezawodnie i nie gorzéj od mężczyzn, gdyby tak jak oni miały prawo uczyć się w gimnazjach, liceach i t. d. „A jeśli obok tego wszystkiego którykolwiek nauczyciel zechce porównywać los swój z naszym, odpowiem mu: Szanowny i kochany towarzyszu niedoli! Stoisz u stóp drabiny wiodącéj ku najwyższym stopniom uniwersyteckim; tekę ministra oświecenia posiadasz w swéj kieszeni, tak jak żołnierz w ładownicy marszałkowską laskę; zdobądź ją sobie jeśliś do tego zdolny, a jeśli posada ministra przedstawia ci się tak jak lisowi zielone winogrona, mnóstwo dróg innych otwiera się przed tobą, dostarczając ci możność doścignięcia bardzo korzystnych rezultatów. Zniechęcenie nie przystoi mężczyznie; pracą zdobywaj wszystko czego pragniesz, a jeśli uczynić tego nie potrafisz:

„Jesteś głupcem mój synu
Upewniam cię ja — Babka twoja." (Molière)

„Jeżeli położenie swe znajdujesz dla siebie niedogodnem, a nie umiesz zmienić je na inne, zostań, że sobie grzybem *ad vitam aeternum*, a będzie w tem twoja tylko wina i nieczyja więcéj"

„Spojrzmy w istocie na ubogą rodzinę, któréj tak synowie jak córki poświęcają się zawodowi nauczycielskiemu. Synowie mocą uniwersyteckiéj hjerarchji przyjęci do proffesorjatu dostępują uniwersyteckich katedr, siostry ich choćby wyższe umysłem i bardziéj zamiłowane w naukach, zostają na zawsze przywiązanemi do posad podmistrzyń, będących *nec plus ultra* teraźniejszości ich i przyszłości."

W ten sposób przebiegły warunki egzystencji guwernantek, p. Daubié kończy uwagą:

„Wynikiem tak niskiego położenia nauczycielek jest i być musi moralne ich poniżenie, a nietylko ich ale i ogółu; złe to społeczne nie zmieni się zaś póty, póki wychowanie kobiet pozostanie oparte na fałszywych a właściwiéj na żadnych podstawach". Znowu więc schodzą się z sobą kwestje wychowania i pracy, i znowu przybywa faktami stwierdzonych dowodów zdanie, że udoskonalenie wychowania kobiet, musi koniecznie sprowadzić dla nich i dla społeczeństwa korzystniejszy zwrot w ich pracy, co znowu zwróci na nie baczniejszą uwagę prawodawstwa. Tak wszędzie i zawsze w jedno wiąże się koło: idea światła przeistaczającego obyczaje, i obyczajów stanowiących dobrą lub ujemną wartość prawa.

Następnie p. Daubié ukazuje nam nauczycielkę dającą lekcje prywatne po domach i naukowych zakładach.

„Czem są w zawodzie nauczycielskim lekcje prywatne dla mężczyzn?—Niczem.

„Czem są dla kobiety?—Wszystkiem.

„A jednak udzielanie prywatnych lekcji, jest dla młodéj kobiety, ze względu na ustrój jéj fizyczny i obyczaje nasze, najuciążliwszą gałęzią nauczycielstwa. Zmusza ono delikatne i słabowite kobiety od rana do wieczora, zbijać bruki miejskie, wyczerpywać swe siły ciężką kilkunastogodzinną pracą, nie, zostawiającą im często czasu na przyjęcie pokarmu."

„A za te przykre i nużące wędrówki po ulicach miasta, za to codzienne trudzenie się nad dziećmi różnych uzdolnień i łamanie się z rodzicami różnych, najczęściéj niesprawiedliwych wymagań, nauczycielka jaką otrzymuje nagrodę?

„Mnóstwem usilnych poszukiwań, pisze p. Daubié starałam się zbadać różnicę, jaka w nauczycielstwie prywatnem zachodzi pomiędzy położeniem mężczyzny i kobiety i przekonałam się, że nauczycielki pobierają płacę cztery razy niższą od płacy nauczycieli. Ostatni zagarnęli całe wychowanie młodzieży płci swojéj i tak znaczną część naszéj, że kobiety otrzymują niekiedy możność pracowania tylko dzięki niezmiernéj taniości udzielanych przez się lekcji. Niektóre z nich mieszkają bardzo daleko od domów swych uczennic, nie używają omnibusów, bo drobny ten wydatek byłby już dla nich zbytkiem, a zjadłszy na śniadanie skromną bułeczkę, puszczają się na 12 godzinne wędrówki, z których wracając przynoszą jako całodzienny zarobek 4 lub 5 franków.

„Sam Paryż posiada 3,000 guwernantek, dających lekcje muzyki na fortepianie, a konkurencja wytworzona tak znaczną ich liczbą, wtrąca większą ich część w położenie prawdziwie opłakane.

„Znałam mnóstwo guwernantek poszukujących lekcji, które udzielać były gotowe za byle co. Mówiły mi one, że z radością przyjęłyby 15 franków za 25 lekcji miesięcznie. Za takąż ilość godzin użytych na nauczanie tego samego przedmiotu, mężczyzna nie przyjąłby mniéj jak 100 franków."

Skoro położenie nauczycielki, dającéj lekcje prywatne po domach jest tak trudne, a niekiedy i niepodobne do przeniesienia, możnaby przypuszczać, że guwernantki stale mieszkające w domach swych uczennic, albo te które dają lekcje na pensjach, w korzystniejszych znajdują się warunkach zapłaty i uznania. Panna Daubié pokazuje nam jednak, że tak nie jest.

„Znałam, pisze, pewną bardzo bogatą rodzinę, która do dzieci swych trzymając guwernera płaciła mu rocznie 5,000 franków, zostawiając mu tyle wolnego czasu, że mógł jeszcze zarabiać gdzieindziéj. W tym samym domu, guwernantka, która oprócz godzin lekcji zobowiązaną była do doglądania dzieci przez dzień cały, otrzymywała 1,000 franków."

Na pensjach panuje równaż niejednostajność pracy i zapłaty, a oprócz tego przystęp do nich wielce zostaje utrudnionym dla kobiet, bo każda instytutorka, idąc w tem za obyczajem i pojęciami publiczności, o wiele przekłada widzieć w zakładach swych nauczających mężczyzn niż kobiety, chociażby nawet te ostatnie równie jak pierwsi, doskonałe były w swym zawodzie. Mężczyzni więc, już posiadający monopol szkół męzkich i w żeńskich przeważną ilość miejsc zabierają dla siebie. P. Daubié uważa to za krzyczącą niesprawiedliwość i znajduje, że jeśli mężczyzni są dopuszczani, a nawet poszukiwani do szkół żeńskich, dla kobiet powinien być również dozwolony wstęp do zakładów, w którym wychowuje się młodzież męzka. Albo też jak jedni tak drugie powinni zająć się wyłącznie wychowaniem płci swojéj, nie wkraczając bynajmniéj we wzajemne otrzymane prawa.

„Osoby nienawidzące wszelkich nowości, albo nie zdolne do ich zrozumienia, znajdują myśl przypuszczenia kobiety do nauczania płci męzkiéj śmieszną i oryginalną. Dla czegóżby równie śmiesznem i oryginalnem wydawać się nie mogło nauczanie mężczyzn w zakładach żeńskich.

„Jeżeli ogół mniema, iż pewnych lekcji tylko mężczyzna z pożytkiem udzielać może, dla czegoż zgadza się na to, aby je słuchały kobiety w domach prywatnych i na niektórych pensjach widzimy kobiety uczące się niekiedy geometrji, chemji, fizyki i t. d. Jedno więc z dwojga: albo rozumieją one to czego się uczą, a zatem złożywszy naprzód dowód swéj umiejętnści same nauczać mogą; albo niezdolne są do zrozumienia tego czego je nauczają profesorowie, a zatem po cóż ci ostatni uczęszczają do nich?

„Niesprawiedliwość sprowadzająca do niżkiéj ceny pracę kobiety, tak podobną do pracy mężczyzny, temu samemu oddającego się zawodowi, trwać będzie póty, póki guwernantka nie przestanie w umyśle publiczności przedstawiać tylko początkowego nauczania."

Metoda p. Daubié polegająca na dochodzeniu źródła złego i stanowiąca właśnie całą głębokość i główną wartość jéj książki, każe jéj i tu zochodzić dla czego kobiety guwernantki zawsze są nieszczęśliwsze od mężczyzn nauczycieli, czy to w dawaniu lekcyi prywatnych na pensjach lub w domach, czy na stałych posadach nauczycielskich w rodzinach.

Powód tego nieszczęścia leży znowu częścią w tem, że kobiety mniéj się uczą, więc mniéj nauczać mogą, a częścią w przesądzie, rutynie i uprzedzeniu publicznem, odtrącającem od wyższego nauczania choćby najbardziéj uzdolnioną do niego kobietę, i wyznaczaniem jéj niezmiernie ciasnego zakresu na jednym prawie polu pozostawionem dla jéj pracy.

Należy więc zastanowić się pilnie, nad środkami, któreby mogły podnieść kobietę w zawodzie nauczycielskim do należnego jéj stanowiska. O założeniu Uniwersytetu dla kobiet p. Daubié marzyć nie śmie, gdyż, jak pisze, obawia się by tem żądaniem cięższéj nie popełniła obrazy przeciwko budżetowi narodowemu, mającemu do zapełnienia swych rubryk daleko ważniejsze niż kształcenie kobiet przedmioty,

„Nie żądam bynajmniéj od budżetu krajowego poświęcenia choćby jednego centymu na sprawę wychowania kobiet, bo obawiam się aby którykolwiek z wysokich dygnitarzy nie odpowiedział mi uroczystemi słowami: *nie lubię kobiet doktorów!* Wymówionemi takim tonem, jakby nam z nich spłynęły wszystkie obfitości dostatku i spokoju, i aby potem nie rozkazał na naszą intencją przedstawić w teatrze *„Kobiety uczone,"* Moliera.

Więc o Uniwersytecie dla kobiet dziś i mowy być nie może, ale za to p. Daubié stanowczo domaga się przypuszczenia kobiet do wyższych szkół i liceów i podaje ku temu praktyczne środki. Ponieważ charakter i obyczaje francuzkie utrudniają wspólne bywanie na lekcjach dziewcząt i chłopców powszechnie przyjęte w Stanach Zjednoczonych zatem proponuje, aby w tych samych salach w których dotąd uczą się sami tylko mężczyzni, przyjmowane były z kolei kobiety.

„Mażto znaczyć że wychowanie podobne przerobi kobiety na mężczyzn? O, mój Boże! mogą się one przecie wyuczyć tego samego czego się uczą mężczyzni, a nie stać się przez to wielce strasznemi amazonkami! A nawet uczęszczanie dziewcząt do szkół i liceów, daleko więcéj przywiąże do domowego ogniska, niż dzisiejszy sposób ich wychowania, ta reforma spotęguje właśnie rodzinnego ducha, dozwalając siostrom i braciom zajmować się pod rodzicielskim dachem jednostajnemi naukami, usposabiając siostrę starszą na korepetytorkę młodszych braci, dając przyszłéj żonie i matce możność podzielania wyobrażeń męża i kierowania nauką synów." A gdy w szkołach wyższych kobiety przygotują swój umysł do wyższych i rozległych nauk, powinny już wtedy, nie zważając na to, że są odtrąconemi od prac Uniwersyteckich, własnemi siłami uczyć się dalej, aby módz zdobyć sobie stopnie uniwersyteckie i pokazać światu do czego są zdolne.

„Bo nareszcie, do kogóż należy czas, którego użyć chcemy na zdobycie wiedzy? Kto nam wzbronić może walczenia o lepszą przyszłość? Trzeba aby kobiety stanowczo w to uwierzyły, że wszystkiego o własnéj mocy dorabiać się powinny, że wszystkie przywileje jakie posiadać pragną, dadzą się wydrzeć społeczeństwu tylko widoczną siłą i rozwojem ich umysłów."

Zatem, według p. Daubié, trzeba naprzód aby kobieta brała udział w wychowaniu jakiego udzielają szkoły wyższe, aby potem własną samodzielną pracą zdobywała naukę dostateczną do otrzymania stopni uniwersyteckich, a nareszcie aby, jeśli się odda zawodowi nauczycielskiemu, miała najszerszy przywiléj nauczania we wszystkich naukowych zakładach, począwszy od najniższych aż do najwyższych.

„Oświecenie publiczne nie może postępować z duchem czasu innemi sposobami jak 1) przez ofiarowanie nauczycielom hojnego wynagrodzenia 2) przez naznaczanie ich na posady drogą konkursu i bez różnicy płci.

„Wszędzie gdzie nauczanie swobodnie się rozwija, kobieta posiada w niem przywileje zupełnie równe męzkim, dowodem tego są Stany Zjednoczone. Prawodawcy tego kraju, starają się o ile mogą najwięcéj rozpowszechniać wpływ kobiet na młodzież męzką, przez co dzielnie dopomagają rozwojowi moralności publicznéj.

„Dla tego to wyższe naukowe zakłady otwarte są tam dla kobiet tak jak i dla mężczyzn. W Filadelfji Akademja Czarnych udziela murzynkom ukształcenia jakiegoby naprożno Europejka szukała na swéj rodzinnéj części świata.

„Kobiety — professorowie w wielkiéj liczbie nauczają w zakładach wyższych męzkich, a młodzi ludzie znajdują w nich zawsze światłe przewodnice kierujące ich umysłami, aż do samego końca szkolnego ich kształcenia. Często zdarza się tam widzieć mężczyzn chętnie słuchających wykładów kobiet młodszych od siebie, a wielu światłych mężów przypisuje niezmierny rozwój umysłowy i moralny Stanów Zjednoczonych, właśnie téj wspólności uczenia się i nauczania obu płci. Obyczaje podobne tak wysoko postawiły zawód nauczycielski, że bogate i z najwyższych klass towarzyskich pochodzące Amerykanki, wstydząc się próżnowania będącego chlubą i przywilejem naszych kobiet, oddają się zwykle przez czas jakiś nauczycielstwu, aby przez to przygotować się do zawodu macierzyńskiego."

(d. c. n.)

KORESPONDENCJA

pani **Sewery̆ny D.**

Z POWODU WYSTAWY PŁODÓW MORSKICH

W NEAPOLU.

(Dokończenie).

Na wystawie w Neapolu, bursztyn znalazł miejsce obok innych płodów morskich, ale gaśnie on całkiem przyćmiony blaskiem pereł i korali. Nauka zabiła poezyą: łzy Apolina straciły dawny urok. Uczeni rozpoznali w bursztynie skamieniałą żywicę drzew przedpotopowych, które tworzyły niegdyś wielką puszczę w dolinie Baltyckiéj, zaczem pochłonęły ją morskie fale.

Perły za to świetnie reprezentowane były na wystawie neapolitańskiéj. Nadesłano tu z Frankfurtu kilkadziesiąt sztuk przyrosłych jeszcze do konchy, rozmaitych wielkością i barwą. Obok tych widzimy gotowe naszyjniki, mianowicie jeden przepyszny złożony z trzydziestu ośmiu czarnych pereł, oszacowany na 150,000 franków.

Upodobanie w czarnych perłach, należy do tych niewytłumaczonych dziwactw fantazji, ubiegającéj się za nadzwyczajnością; perła biała stokroć piękniejsza od czarnéj, a przecież o połowę mniéj warta. Excentryczny smak wielkich pań, nie chce już poprzestać na chorobliwéj narośli biednego żyjątka, potrzeba, aby ta narośl miała gangreniczny charakter, w onczas dopiero staje się godną diademu.

Do ciekawości etnograficznych na wystawie, należy wielki zbiór klejnotów z zeszłego wieku, w którym przeważają perły oprawne w złoto. Owe klejnoty stanowiły niegdyś ozdobę i posag wieśniaczek lombardskich; wymowne to świadectwo zamożności pięknego kraju, zwanego słusznie ogrodem Italji.

Istotną jednak perłą wystawy, nie są prawdziwe perły, ale raczéj korale. Ogromna sala wyłącznie poświęcona téj ważnéj gałęzi przemysłu neapolitańczyków.

Pominiemy niezliczone wyroby z korali, nacechowane smakiem wysoko artystycznym, a zwrócimy głównie uwagę na dwa modele statków, czyli tak zwanych *koralin*, jakich *koralery* to jest poławiacze korali, używają do ich wydobywania.

Wyobraźmy sobie ogromne naczynie szklanne, w kształcie owalnym, pełne wody, tworzące jakby sadzawkę. Po niéj pływają dwie miniaturowe *koraliny*, wyrobione z drobiazgową dokładnością. Zgrabne figurki drewniane, przedstawiają koralerów, w akcyi odpowiedniéj ich zawodowi. Na jednym stateczku, pochyleni ku ziemi, ciągną pospołu długą linę. Na drugim stoją na pokładzie. Po co im się mozolić; statek przygotowany przez nich, sam pracuje, on nałamie mnóstwo gałęzi koralowych, do nich tylko należy poprowadzić go we właściwe miejsce. Lina przytwierdzona do tego statku, za poruszeniem korby, wpuszcza się w głąb morza; do liny umocowany jest bardzo prosty przyrząd: są to dwie krótkie belki zbite na krzyż, opatrzone w czterech końcach pękiem wielkich pętlic z nici konopnych i szpagatu. Te pętlice długie na sześć do siedmiu łokci, włóczą się po dnie morza, i czepiając się o krzewy koralowe, wyłamują i ciągną je za sobą. Sposób to jak widać zupełnie pierwotny, nic jednak dotąd lepszego nie wymyślono. Wprawdzie Włochy łamali sobie głowy, nad wyszukaniem nowych środków, próbowali ich nieraz, lecz po mniéj więcéj niepomyślnych próbach, wracali zawsze do pierw-

szego. Jedynym tu dowodem postępu jest owa korba, do której przytwierdzają linę.

Dwa te modele dało na wystawę miasteczko Torre del Greco, położone u stóp Wezuwiusza. Mieszkańcy tutajsi koralom jedynie zawdzięczają zamożność swoją. Żyjąc z dnia na dzień, pod grotą wulkaniczych wybuchów, nie mogąc siać ani orać na wyżynach, pokrytych twardą skorupą lawy, wetują sobie w morzu klęski poniesione przez ogień.

Torrezanie wzięli jakoby w monopol tak połów jak i obrabianie korali. Monopol ten nienadany wprawdzie żadnym przywilejem; zdobyli go sami niesłychaną odwagą i zręcznością. Nikt nie może sprostać im w téj gałęzi przemysłu.

Wpadła nam niedawno w oczy ciekawa statystyka w tym przedmiocie: podajemy tu cyfry.

Z końcem Grudnia 1869, było w całych Włoszech 433 koralni czyli statków, obsługiwanych przez 4,200 koralerów. Z tych 329 dostarczyło Torre del Greco. Wyłowiono w ciągu roku 56,000 kilogramów korala, jeden kilogram brutto, oszacowany 75 centimów; połów przyniósł zatem 4,000,000 fr. Tyle zarobili sami poławiacze.

Obrabianiem korali we Włoszech, zajmuje się 60 fabryk. Robotnicy w liczbie 6,000 tysięcy, zarabiają w nich rocznie do 10,000,000 franków. Na Torre del Greco przypada dwie trzecie, to jest 40 fabryk. Znajduje w nich robotę 4,000 ludzi, między nimi 3,000 samych kobiet.

Francja usiłuje oddawna współzawodniczyć z Włochami w téj gałęzi przemysłu, zwłaszcza na brzegach afrykańskich, ale Francuzi nie mają cierpliwości, a nadewszystko wprawy potrzebnéj koralerom. Długo też próżne były ich zabiegi, ale przedsiębiercy w końcu wzięli się na sposób. Oto ściągają do Algieru włoskich poławiaczy i robotników, a choć płacą im bardzo drogo, to wydatek wraca się sowicie. Liczne też bardzo koraliny wypływają co wiosna z portów algierskich a szczególniéj z la Calle, pod dyrekcją włoskich koralerów, i Neapolitańczycy muszą dziś mieć się na wielkiéj baczności, aby ich Francja nie ubiegła.

Wyprawa trwa zwykle sześć miesięcy. W połowie Marca koraliny okrążają brzegi Kalabrji, wyspy Lipari, Sardynję i afrykańskie wybrzeża Barbaresków. Niektóre idą do Korfu, nawet na morze Czarne:—inne trzymają się przylądka Sorento, powracają zaś wszyscy do domu dopiero jesienią. Przez czas wyprawy, co miesiąc lub częściéj, parowce roznoszą im żywność i zabierają koral.

Kilku fabrykantów z Torre del Greco, dało na wystawę modele pracowni, wykonane ze ścisłą dokładnością, równie jak wszystkie narzędzia używane do obrabiania korali.

Poeta Delile powiedział kiedyś o koralu:

Krzew pyszny na dnie morskim rósł przez długie lata;
On tylko czczą ozdobą, tylko pychą świata.

Mylił się Delile! czem innem jest ten krzew dla koralerów, przedstawia on im chleb często mozolnie, ale uczciwie zapracowany, przedstawia on pracę, przemysł, dostatek, słowem pomyślność całych rodzin.

Przegląd literacki.

Fragment powieści przez *Leonarda Sowińskiego*. Lwów 1869 r. (c. 35 kop.); **Najemnica** z ukraińskiego *Tarasa Szewczenki* przekład *Leonarda Sowińskiego*. Lwów 1870 r. z portretem Szewczenki. Cena 35 kop.

Fragment powieści pana Sowińskiego przypomniał nam wydane w 1861 r. w Kijowie *Okruchy poematu* p. t. *Z życia*, i ogromną znaleźliśmy różnicę w tych dwóch poematach ułamkowéj nazwy, a szkicowéj formy. Różnica ta polega nie na uwydatnieniu się większem lub mniejszem talentu autora, lecz w samym nastroju ducha, w podniosléjszéj treści poematu *Z życia*...

Szersze sobie poeta naznaczył tu ramy i wyżéj myślą sięgnął, czerpiąc treść do swojego utworu *z życia* przepełnionego boleścią i zawodami, utrzymującego się tylko obnegacyą i pracą wewnętrzną; z życia nie indywidualnego, odosobnionego, ale objawiającego się we wszystkich sferach społecznych, skrystalizowanego w myślach, słowach i czynach wprowadzonych przezeń osób.

W *Fragmencie* nie szukajmy nic podobnego; to zwykłe dzieje dwojga zakochanych: ona — piękna, bogata, rozpróżniaczona, a gorącego temperamentu *panna znakomitego rodu*; on — bohater poematu, jak widno z napomknień autora, *poeta*, goniący za pięknem i wrażeniami, ale nie mający dość siły, aby ukochaną i siebie wydobyć z ognia namiętności zmysłowych... Dzieje te, wypowiedziane w sześćdziesięciu i jednéj strofach ośmiowierszowych, językiem zaprawionym ironią, szyderstwem i alluzyami osobistemi, właściwie są satyrą, tylko bynajmniéj niepodobną do satyr Naruszewiczów lub Krasickich.

Nie jest to wierszowane kazanie, ale poemat satyryczny, najlegalniejsze dziecię naszego stulecia. W każdéj strofie, w każdym wierszu, czujesz, że do ciebie się odzywa nie zimny moralista, lub filozof ale poeta, który w przepełnionem sercu boleścią, urąga sobie i swoim bohaterom.

We *Fragmencie* na pierwszym planie występuje bohaterka... Mania; którą poeta podług następnéj recepty tworzy:

„*Recipe* dumy lwiéj i turkawki młodéj gruchania,
„Wściekłych tragicznych scen i pieszczot do niewytrzymania,
„Żądzy i zimnéj krwi, okrucieństwa, smutku, czułości,
„Najpotworniejszych kłamstw i przezroczystéj jak łza czułości.
„Wszystko to zmąć i w ogniu azyatyckiéj miłości
„Skrysztal w kobiety kształt a wyjdzie niezawodnie Mania.
„Milutki typ!... Niewiele w nim znajdziesz idealności,
„Mnóstwo ma wad, nie przeczę, a jednak wart jest kochania...

Zapewne... zapewne godną była kochania jak Aspazya lub Lais namiętna dla podochoconego Greczyna, ale jestem przekonany, że poeta nieradby w niéj widzieć swojéj siostry lub córki.

Już-to, niech się autor nie gniewa, a gniewać się lubi na tych, co o nim piszą, ale przyznać sam musi, iż ciągłe przedstawiania kobiety w upadku, nie tylko zbyt powszednie, ale co najważniejsza dla poety nie piękne, i pomimo wszystkich barw i promieni, jakiemi uwydatnia zewnętrzną jéj piękność, brudne i wstrętne, i tylko na niepoprawnym rozpustniku, uczynić może wrażenie.

Piękniejszą jest już Ewa z *życia*, oto jéj portret:

„Zmoro śliczna duchów śpiących,
„I urocza i przeklęta,
„Czarodziejko rojeń wrzących
„W myśli sennéj bóstw marzących;
„Z nadpowietrznéj mgły poczęta,
„Niepochwytna, drżąca, zmienna,
„To skalana, to promienna,
„Sercem w prochu... kształtem w niebie.

Wracając się do *Fragmentu powieści*, jeżeli w nim poeta przedstawił nam typ kobiety zmysłowéj, typ piękności pogańskiéj; jeśli w swych fantastycznych zwrotkach nie zważa wcale na gorszących się byle czem świętoszków, i zbyt jaskrawych używa kolorów: nie można jednak powiedzieć, aby poemat jego był niemoralny, gdyż wśród szyderstwa i śmiechu posłyszysz ton silny i męzki oburzonego poczucia obywatelskiego. Naprzykład zwrotka 40ta:

„Ileż-to męzkich dusz nadziejami wielkich za młodu,
„Ile ogromnych sił z namszczeniem i wolą dzielną,
„Nagle runęło w proch, trucizną jéj tkniętych śmiertelną
„Gdzież pomniki ich prac?! .. Gdzie plon steranego zawodu?!...

We *Fragmencie* poeta elektryzuje czytelnika rzuconą niby na wiatr myślą, rani niekiedy ostrzem swéj ironii, ale nigdy nie naszkicuje, nie dotknie z lekka nawet ideału swojéj wiary.... swoich przekonań i zasad. Domyślać się zaledwie ich możemy.

Co do formy zewnętrznéj, w jaką p. Sowiński odziewa swoje utwory, nie mamy nic do nadmienienia; jest w niéj mistrzem i włada wierszem z wielką swobodą, gdyż à la Słowacki pozwala sobie rymów i zwrotów, tak od niechcenia, jak się nasuną pod pióro. Patrz zwrotkę 46.

Nie pojmujemy tylko, co znaczą zbyt częste przytyki autora do recenzentów, jakby się lękał, iż go nikt nie zrozumie i należycie ocenić nie potrafi. Tak źle nie jest; krytyka choćby najstronniejsza lepszą jest, jak żadna. Czy Szekspir lub nasz Malczewski a nawet Mickiewicz stracili co na tem, że współcześni im pisarze fałszywie ich pojmowali i poznać się na nich nie umieli? Skargi podobne, i to w ciągu samego utworu, co najmniéj niewłaściwie.... zostawmy je tym, których *improwizowane wypracowania* potrzebują reklamy.

Jakby przeciwstawieniem dotychczasowych utworów swoich, odznaczających się jaskrawością kolorytu i wyższym nastrojem ducha, p. Sowiński obdarzył nas przekładem uroczéj, rzewnéj sielanki z ukraińskiego poety Terasa Szewczenki, p. t. *Najemnica*. Dzięki p. Sowińskiemu nie jest obcem czytelnikom naszym nazwisko tego znakomitego poety, gdyż przed kilku laty wydał studium o jego życiu i pismach, a obecnie tegoż autora podaje nam, jak mówi w przedmowie, prawdziwą perłę poezji ludowéj. I w saméj rzeczy, śliczne — to, skromniutkie arcydzieło swojego rodzaju.

Nie znając oryginału, nie możemy wiedzieć, cośmy winni autorowi, a co tłomaczowi, w każdym jednak razie nazwiemy z kolei pracę p. Sowińskiego perłą przekładów. Rym, rytm, zwroty i tak utrafiony właściwie ton poezji ludowo-ukraińskiéj czynią z *Najemnicy*, pełen uroku poemacik, który z rozkoszą każdy przeczyta po Bajranowsko-Hejnowskich ekspektoracjach. Odetchnie tu pełną piersią wśród stepów tęsknéj Ukrainy, upoi się wonią rozkwiecionych futorów, że zapomni na chwilę o błocie ucywilizowanego świata.

Treść *Najemnicy* bynajmniéj nie zawikłana:

Biedna *mołodyca* żali się na swoją *dolę*, bo nie wie, jak wychowa nowo narodzone swoje dziecię ale natchniona szczęśliwą myślą podsuwa je dwojgu staruszkom, zamożnym, spokojnym i cnotliwym, ale bezdzietnym wieśniakom. *Siwa para* z radością przyjęła znalezione dziecię; ochrzcili ślicznego Marka, i aż odmłodnieli mając syna, z którego dochowali się dzielnego młodzieńca. A matka? Matka, podziękowawszy Bogu za dolę swojego dziecka, zmieniła imię i jako najemnica przyjęła służbę u jego przybranych rodziców; czuwała pielęgnowała i pilnowała chłopca, nie zdradziwszy się ani jednem słowem. Doradny Marko, idąc za wolą staruszków, ożenił się, dochował dziatek, a najemnica wciąż wiernie im służyła. Pewnego razu zaniemogła biedaczka, poczuła, iż wybiła jéj godzina rozstania się z światem, zapragnęła widzieć po raz ostatni Marka. A Marek powrócił właśnie z Carogrodu dokąd pociągnął z Czumakami, i przywiózł dary dla ukochanych. Najemnica, gdy sam na sam z nim została, dobywając ostatnich sił, rzekła z cicha:

— Spojrzyj na mnie! widzisz Marku,
Jakem ja zmarniała!
Ja nie Hanna... najemnica...
Ja...
I oniemiała!
Marko płacze. Zwolna oczy
Znów się otworzyły;
Pilnie, pilnie popatrzała,
Łzy się potoczyły.
— Przebacz Marku! W cudzéj chacie
Cała służba moja —
To pokuta... Przebacz synu!
Ja... ja matka twoja.
I zamilkła...—
Padł mój Marko,
Aż ziemia zadrżała —
Zemdlał. Ocknął się... do matki,
Lecz matka już spała...

J. P.

Otrzymany list od p. Dzikowskiego jako odpowiedź na uwagi o wydanem przez niego dziełku, a pomieszczone w Pogadance zeszłego numeru, podajemy poniżéj w całości bez żadnéj zmiany.

Szanowny Redaktorze.

W numerze 43 Tygodnika Mód i Powieści w artykule zatytułowanym *Pogadanka*, pomiędzy innemi zamieszczoną została krótka recenzja o dziele p. t. Najnowsze wychowanie, cel jego i warunki. Szanowny Recenzent nazywając nas łaskawie, głosicielem i miłośnikiem prawdy, sądzi, że nie weźmiemy mu za złe oceny powyższéj książki, któréj przekład z angielskiego znalazł niedbałym i tak niezrozumiałym, że aż *w pięcie* zakręci, chcąc go pojąć.

Pomijając ryczałtowe potępienie przekładu, które nikogo przekonać nie powinno, bo Szanowny Recenzent nie przytoczył ani jednego ustępu, któryby poparł choć w części jego twierdzenie: pomijając również szczególniejszy nastrój nerwowy Szanownego Krytyka, którego *pięta* orjentuje w rzeczach większego naprężenia umysłowego, w imię prawdy wyznać musimy, iż przekład dla Szanownego Recenzenta jest dlatego tak niezrozumiałym, bo twierdzimy stanowczo; nie przeczytał go właśnie od deski do deski, a natrafiwszy na luźne ustępy z dziedziny nauk przyrodzonych, które mu są zupełnie a zupełnie obce, naturalnie pojąć ich nie mógł i nie pojmie ich dopóty, dopóki jako krytyk nie stanie na wysokości ogólnych pojęć z nauk przyrodzonych traktowanych w potępionym przekładzie, co tem więcéj nas utrwala w tem przekonaniu, ile, że recenzje o téj książce w innych pismach np. w Tygodniku Illustrowanym nie znalazły owéj *niedbałości i niezrozumiałości* na które Szanowny Recenzent Tygodnika Mód i Powieści tak po modnemu to jest po wierzchu napada.

Prosząc Szanownego Redaktora w imię bezstronności dziennikarskiéj, o zamieszczenie tych kilku słów w szpaltach Tygodnika pozostaję i. t. d.

M. Dzikowski.

Pomieszczając powyższą korespondencję p. Dzikowskiego wydawcy dziełka powyżéj przytoczonego robimy to, rzeczywiście w imię bezstronności dziennikarskiéj, jakiéj się Szanowny Korespondent domaga. Co do zarzutów niesprawiedliwości i nietrafności sądu o wydawnictwie p. Dzikowskiego, te dadzą się streścić do dwóch następujących: że dziełka skrytykowanego nie przeczytałem, i że niezdolny jestem zrozumieć jego głównéj osnowy. Co do pierwszego przyznać ze smutkiem należy, że pomiędzy tegoczesnemi krytykami zwykle tak się dzieje, iż potępiają albo chwalą to, czego z tytułu może nawet nie przeczytali. Sam p. Dzikowski określił ich wybornie w drugim poszycie Kolców, powiadając, że krytycy tacy zwykle tak robią: — w czwartek mówią *zerżnę go*, w piątek piszą recenzję, w sobotę drukują, a tymczasem *zerżnięta książka albo pismo* wychodzi dopiero w poniedziałek. Ja jednak należę do innego autoramentu, do tych nieznośnych nudziarzy, co sto razy rzecz obejrzą, zanim czarne nazwą czarnem, a białe białem. Dziełko zatem *Najnowsze wychowanie*, rzeczywiście przeczytałem od deski do deski, a dowodem tego porobione w niem liczne poprawki i naznaczenia miejsc wybitniejszych, co wszystko wraz z wydatkiem na kupno książki, nie dopełnia się dla jakiéjś zabawki, ale wprost w chęci przeczytania pilnego i odniesienia z tego rzeczywistéj korzyści. Że nie przytoczyłem żadnego ustępu popierającego zarzut złego przekładu, to stało się skutkiem „prostego niepodobieństwa. Każda prelekcja jest poświęcona dowiedzeniu potrzeby wprowadzenia jednéj z nauk do wykładów szkolnych, stanowi zatem ścisłą całość, którą gdybym przytoczeniem ustępów rozerwał, już przez to samo zrobiłbym rzecz niezrozumiałą, choćby ta jak największą zalecała się jasnością. Na poparcie zatem zarzutu haosu w jaki tłomacz wprowadza czytelnika, trzebaby było całą jedną prelekcję przedrukować, albo przez sumienność wstrzymać się od dawania ustępów. Że jednak p. Dzikowski domaga się tego stanowczo, niechże choć jeden pierwszy lepszy poprze moje twierdzenie. Otóż na karcie 31 i 32 czytamy co następuje:

„Klassyfikację nauk Obiektywną można krótko objaśnić w następujący sposób: najgłówniejsze podziały, polegają na grupach czyli klassach prawd, które powinny być ułożone, według ich prostoty, czyli co stanowi jedno i toż samo, według ich ogólności, albo innemi słowami, według małéj liczby własności tych przedmiotów i pojęć, któremi się zajmują."

W ustępie tym nie pominęliśmy ani jednego wyrazu ani jednego przecinka, zapytujemy więc każdego czy to jest jasne i zrozumiałe? Czy choć jeden z czytelników pojmie tę klassyfikację nauk Obiektywną i po przeczytaniu jéj potrafi zdać sobie sprawę jasną z tego co przeczytał? Ustępów takich jest mnóstwo, a że łączą się jedne z drugiemi, i z dowodzeń podobnych wypływają inne ściśle z niemi związane, cokolwiek zrozumialéj przedstawione, więc tu i owdzie coś się niby pojmuje, domyśla, ale z całości tworzy się haos, z którego najcierpliwszy czytelnik, żadnym sposobem wybrnąć nie może.

Co do zarzutu iż nie stoję na wysokości ogólnych pojęć z nauk przyrodzonych traktowanych, czyli innemi słowy, że niezdolny jestem zrozumieć dowodzeń w dziełku pomieszczonych, to cokolwiek trudniéj będzie przekonać p. Dzikowskiego, że i pod tym względem go myli, boć trudno być sędzią własnego umysłowego wykształcenia. Taktyka jednak zarzucania nieświadomości na niewiele się tu przyda, tymbardziéj, że choć jest dość zręcznym manewrem, ale zużytym i zwykle w złéj sprawie używanym.

Dziełko o którem mówimy stanowi zbiór odczytów profesorów angielskich, a zatem jako przemawiających do ogółu nie do naukowych specjalistów, nie zapuszcza się w zbyt zawiłe dowodzenia, w zbyt subtelne naukowe rozumowania. Odczyty te zrozumiałe i pojęte przez publiczność Londynu, nie przypuszczam aby mogły być za mądre dla naszéj publiczności, o czem także nie wątpi i p. Dzikowski, skoro zajął się ich wydawnictwem. Co więc ogół u nas czytający może rozumieć, dlaczegóż ja nie miałbym pojąć i osądzić jak na to przedmiot zasługuje? Wreszcie kto jasno rzecz jaką pojmuje jasno ją przedstawia, kto rozumie siebie będzie zrozumianym i przez drugich: tłomacz niestety ani jasno pojmował ani rozumiał siebie, dał też garść kartek zadrukowanych bez ładu i składu, a p. Dzikowski dla illustracji ustroił je w setki błędów, w pozmieniane i poprzekręcane wyrazy, w najniewłaściwszą punktacje i w bąki już czysto drukarskie, których na każdéj kartce znaleść można po kilka. Zarzut ten i w przeszłéj pogadance zrobiony, p. Dzikowski pokrył milczeniem, a więc przyznał że mam słuszność, bu tu już trudniéj było wystąpić z prostem zaprzeczeniem, mogącem być w każdéj chwili pobitem licznemi dowodami. Mając więc słuszność co do tego zarzutu przynajmniéj, musiałem koniecznie dziełko całe przeczytać, bo zkądże wiedziałbym o rażącem niedbalstwie korekty, gdybym był tego nie dopełnił?

Co do pochwały przez inne pisma wydanego dziełka przez p. Dzikowskiego, to znów ja robię zarzut, jawnie i głośno, że sprawozdawcy z pewnością nie przeczytali z niego nawet kilku kartek. Napisali bo tak im wypadło, bo trzeba było, bo sam przedmiot a nie praca zasługiwał na zalecenie, a firma professorów angielskich aż nadto dostateczną dawała rękojmię, że rzecz musi być dobra i godna pochwały. Gdyby bowiem byli przeczytali jak ja to zrobiłem, to nie znam ani jednego sprawozdawcy, ktoryby z zaleceniem dziełka odważył się wystąpić. Zgrzeszyli nie złą wolą, ale zbytniem zaufaniem, nie przypuszczając aby ktoś do tłomaczenia i wydania tak ważnéj i pożytecznéj książki, mógł przystąpić z tak rażącą lekkomyślnością.

J. K. Gregorowicz.

OBRAZY

NA WYSTAWIE TOWARZYSTWA ZACHĘTY

SZTUK PIĘKNYCH W WARSZAWIE.

(Dokończenie.)

Madonna Murilla równie odnaleziona w jakimś skromnym włoskim kościele jest obrazem nie wielkich rozmiarów, ale wszedłszy do sali, pomimo licznego otoczenia innych prac malarskich pomiędzy któremi się mieści, odrazu zwraca na siebie uwagę. Murillo twarzy Madonny inny nadał niż Rafael charakter. W Rafaela widać spokój i świętość, w Murilla uwielbienie Boga i podniesienie myśli ku Niemu. Oczy Madonny wzniesione w górę zdają się zasyłać niemą modlitwę, a policzki w części górnéj prawie drgają i poruszają się, jak to zwykle bywa przy wielkich wewnętrznych wzruszeniach. Złudzenie to szczególniéj przy pierwszem spojrzeniu na obraz, pociąga widza ku niemu i nadaje mu to niezwykłe życie, mieszczące go między arcydziełami. Dzieciątko Jezus pomimo wielkich zalet, już nie jest takiem jak w obrazie Rafaela.

Madonna Holbejna znajdująca się na wystawie samych prac tego znakomitego malarza, pomieszczoną została w dwóch egzemplarzach, z których naturalnie jeden musi być kopją drugiego.

Hans Holbein zmarły w Londynie w r. 1543 malował swoją Madonnę na żądanie Jakóba Meyera burmistrza Bazylei i dla tego całą jego rodzinę umieścił klęczącą u stóp Najświętszéj Panny. Obraz ten różne przechodząc koleje, wędrując po różnych stronach świata, w roku 1743 został nabyty przez Augusta III króla polskiego w Wenecji za 22,000 liwrów i tym sposobem dostał się do galerji drezdeńskiéj. Pracę tę Holbejna uważano powszechnie jako prawdziwe arcydzieło w sztuce niemieckiéj, i nikomu nawet na myśl nie przyszło zaprzeczyć jego autentyczności. Wiedziano wprawdzie, że w Darmstadzie znajduje się podobny drugi, przypuszczano nawet że mógł być wykonany przez samego Holbejna, ale Drezdeńczycy stanowczo temu zaprzeczali.

I tak kwestja pozostała w zawieszeniu, a raczéj nie zajmowano się nią wcale, jako ubliżającą znakomitości zbiorów posiadanych. Gdy jednak z powodu urządzenia w Dreznie wystawy dzieł tego znakomitego mistrza, obraz darmsztadski postawiono obok drezdeńskiego, pomiędzy znawcami powstała wątpliwość, który z nich jest oryginałem a który jego kopją. Zdania pod tym względem tak były podzielone, taka zawzięta sprzeczność w nich powstała, że postanowiono zwołać nad sąd ludzki kompetentnych, którzyby stanowczo kwestję tę rozstrzygnęli.

W pierwszych zatem dniach Września r. b. przybyli do Drezna znakomitości różne naukowe i artystyczne, z Wejmaru, Londynu, z Berlina, z Halli, z Lipska, ze Sztutgartu, z Wiednia, z Brunszwiku i innych miejsc, i ci po czterodniowych, gorliwych sumiennych obradach, wydali wyrok dla Drezdeńczyków niespodziany i bardzo bolesny, iż 'Madonna Darmsztadzka jest rzeczywistem oryginalnem dziełem Hansa Holbejna młodszego, a Drezdeńska tylko kopją powyższego obrazu i to kopją dokonaną przez innego nie Holbejna malarza, Wyrok ten znaczną większością głosów wydany, sprawił niezmierne wrażenie. Miłośnicy malarstwa podnieśli wymowne głosy w obronie arcydzieła galerji drezdeńskiéj, które tak sponiewierano w jego wartości i pozostali stanowczo przy swojéj opinji. Wprawdzie sąd wyrokujący ma za sobą wielką powagę osób do niego wchodzących: należeli do niego znakomitości całéj prawie Europy, ale i po za jego obrębem równych znakomitości nie brak. Gdzie więc słuszność trudno osądzić, a jakby na uzasadnienie téj wątpliwości sypnęły się już nawet liczne broszury z niezmiernie silnem występujące dowodzeniem.

Sprzeczność ta najlepiéj dowodzi wartości obu obrazów, i zdaje się usprawiedliwiać przypuszczenie, pomimo wyroku sądu zebranego, że oba są dziełem samego Holbeina. Obie te prace prawdziwie mistrzowskie godne nazwy arcydzieła. Twarz Madonny może nie tyle piękna, co w obrazie Rafaela, nie ma także życia Madonny Murilla, ale powaga i świętość każdy jéj rys cechuje. Rodzina zaś burmistrza Meyera z taką prawdą jest oddana, takie życie tryska ze wszystkich postaci, że o wielkiem podobieństwie nawet na chwilę wątpić nie można. Gdyby nasi malarze bawiący za granicą zajęli się skopjowaniem tych trzech Madonn, zrobiliby tem wielką przysługę i dla malarstwa krajowego i dla jéj prawdziwych miłośników.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

Druk. K. Kowalewskiego (ul. Królewska N.1066k). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

WIELKI NIEZNAJOMY.

OBRAZY NASZYCH CZASÓW

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego,

w Dwóch Tomach.

(Dalszy ciąg).

Oba usiedli, pan Karol zmięszany, a udając tem słodszego, im pewniejszy był, że trafił doskonale, gospodarz niespokojny, ocierając pot, który mu na czoło wystąpił.

— Zatem nic by nie przeszkadzało panu dobrodziejowi, dodał Surwiński, zbliżyć się, zapoznać.

Gospodarz milczał, jakby się namyślał. Pan Karol w duchu sobie mówił: — Zgadłem na pewno! ale nie chce się dać poznać.

— Więc, jakże?

— O co to właściwie idzie? spytał po chwili Pilawski, ja sądzę, że nie tyle o moją nieznaczącą figurę.

— O! o! proszę pana! przerwał Karol.

— Ale tak, nieznaczącą figurę, a prędzéj o udział w kosztach zabawy, do których najchętniéj się przyczynię, to mówiąc wstał, zwracając się ku szkatułeczce.

Nic w świecie bardziéj przestraszyć nie mogło zacnego p. Karola; zbladł on teraz z kolei, przekonawszy się, iż go wzięto za kwestarza, twarz mu się przeciągnęła, oczy na wierzch wyszły, zabełkotał, słowa nie umiał wymówić. Przerażenie odmalowane w jego fizijognomji nie mogło być postrzeżonem przez p. Pilawskiego, gdyż właśnie w téj chwili zwrócony kluczyka dobierał.

Naostatek przyszedłszy do siebie Surwiński pochwycił za rękę gospodarza: — Na rany Chrystusowe, zawołał, co pan sobie myślisz? że ja tu po składkę jaką przyszedłem!.. a to słowo honoru..

— Nic przecie nadzwyczajnego by nie było..

— Ja! Ja za składkami chodzić! ale..

Tu ręce załamał. — Ale dajże mi pan.. wytłomaczyć się, myśmy się nie zrozumieli..

Gospodarz schował kluczyki do kieszeni i siadł, ale znudzony i markotny.

— My pragniemy kółko nasze rozszerzyć, ja, z dobrego serca przyszedłem, chcąc ziomka.. niemającego stosunków, zbliżyć..

— Dziękuję serdecznie, odparł Pilawski, podając mu rękę, umiem być wdzięczen — ale — mam pewne powody.. z charakteru.. z nawyknienia, stronię od towarzystwa.. nie nawykłem...

— No, — to dobrze — poszanujemy jego gusta! odezwał się Surwiński, lecz proszę się nie gniewać.

— Owszem, wdzięczen panu tylko być mogę.

— Jestem, człek stary, wstając powoli, dodał pan Karol — dawniéj u nas ceremonji tyle nie było, ludzie niższych fortun, położeń towarzyskich, imion, żyli z sobą.. niechby to teraz choć u wód powróciło?.. Dla czego stronić — czemu się odosobniać?

Gospodarz ruszył ramionami, mruczał coś tylko niewyraźnie. Surwiński na pierwszy raz uznał właściwem nie przeciągać rozmowy, ukłonił się bardzo grzecznie i ze zgasłem cygarem wyniósł. Znalazłszy się dopiero w korytarzu jakoś się opamiętał. Nie zupełnie był zadowolniony ze swéj wyprawy, ale też i nie całkiem z niéj niekontent, — wprawdzie o mało go nie wzięto za kollektora składek, ale dużo się dowiedział i nabrał najmocniejszego przekonania, że jako Pilawski ukrywał się jakiś magnat, pragnący zachować *incognito*. Nic by go tak nie cieszyło nad to, że odgadł, że się domyślił, że potrafił zaraz hieroglif tu wyczytać, — zacierał ręce idąc i uśmiechał się do siebie: — Chce koniecznie zachowywać incognito — no, to dobrze! Ale gdym go przypiekł, aż podskoczył, aż zbladł!.. Doskonała historja, a znajomość zrobiona... nie wydam go to pewno.

Na tem samem piętrze i niemal w téj saméj chwili, gdy pan Karol probował indagować Pilawskiego, w pokojach zajmowanych przez panią Domskę z córką, dwie kobiety w długiem milczeniu siedziały, spoglądając na nieznośny deszcz, smagający szyby od kilku godzin.

— Przyznam się mamie, rzekła wstając Elwira, że jeśli tak cały czas słota trwać będzie, to, doprawdy zanudzimy się śmiertelnie. Ja wprawdzie obchodzę się bez towarzystwa, ale na ludzi choć popatrzéć, jestem rada.. a to, proszę spojrzeć oknem, — świerki, świerki, drzewa, łoza, gołe wzgórki i kilka wron podróżujących.

— Jak my! szepnęła pani Domska uśmiechając się.

— Nie, — wrony są daleko szczęśliwsze, bo mają instynkt i lecą, gdzie świeci słońce.

— Widzisz, odezwała się matka — a to ja ciebie pozbawiam moją chorobą słońca, rozrywki, towarzystwa.

— Słońca, dobrze, rozrywki, ja mało potrzebuję, a towarzystwa nie łaknę. Mama wie, mówiła Elwira, że dla mnie najmilsza igła i książka, zieloność i kwiaty, — a jeśli jest jeszcze fortepian, muzyka, nic mi już na świecie nie potrzeba.

— Tu ci jednak nudno.. odezwała się matka.

— Dosyć, gdyby mamy nie było.

— Ja coś też chora i sama nudna, nie zabawię.

— Byłoby wszystko dobrze, gdyby się tylko Pan Bóg zlitował i dał pogodę i słońce, moglibyśmy pójść trochę w okolice.

— Tak, rozumiem, i spotkać tego pana..

— Kogo? rumieniąc się i ruszając ramionami zapytała córka. — A, że też mamie się zdaje..

— Nic mi się nie zdaje, jestem tego najzupełniéj pewną, że ci się podobał.

— Ale, moja droga matko — oparła się Elwira, przecież go ledwie przez kilka godzin widziałam w wagonie. Mówiliśmy mało, nieznamy go wcale, a tu, ledwie się z nami przywitał.. przytem, powiem mamie, dodała ciszéj — on mi się wydaje, pomimo tego pospolitego nazwiska, człowiekiem tego świata i towarzystwa, do którego, my, (westchnęła) należéć już nie mamy prawa.

— Tak — rzekła smutnie matka, ażeby sobie oszczędzić przykrych zawodów, bolesnych może przejść, — cierpienia, lepiéj, lepiéj... być bardzo ostrożną.

— Niech że mnie mama nie ma za jakąś płochą istotę, u któréj się głowa łatwo zapala — odezwała się Elwira.

— Ale przyznaj, że — podobał ci się..

Spojrzała na córkę.

— Nie przeczę, że zrobił na mnie wrażenie bardzo jakiegoś miłego i sympatycznego człowieka, radabym była jego towarzystwu — przecież, niech mama będzie spokojna, głowa mi się nie zawróci.

— Niech się ani głowa, ani serce nie zawraca — odpowiedziała matka z czułością, nam, moje dziecko, marzyć nie wolno, spodziewać się wcale niepodobna.. ty wiesz..

Zamilkła, — Elwira chodziła po pokoju.

— Wiem, rozumiem, nie mówmy o tem, podchwyciła córka — ja też nie roję, nie marzę, nie spodziewam się. Na życie patrzę trzeźwo, spokojnie, — wiem z góry, że szczęścia od niego wyglądać nie mogę, to jest, tego co pospolicie szczęściem zowią. Dla tego potrafiłam sobie upodobania, zajęcia, całą przyszłość tak z góry urządzić, ażeby mi wydziedziczonéj, jeszcze bardzo źle nie było. Książki, fortepian, praca, zupełnie mi starczą.

Matka miała łzy w oczach, Elwira zbliżyła się, by ją pocałować w rękę, ta chwyciła jéj głowę, i całus macierzyński położyła na czole.

— Nie mówmy o tem — zamknęła Elwira.

— Owszem, mówmy, przerwała Domska — to nas rozerwie, wśród tego nieznośnego deszczu, pozwalam ci trochę się bawić twoim nieznajomym, którego wiesz nazwisko przecie.. Nie jest ono tak zachwycające, wyglądał mi na paniczyka, na hrabiątko, ale — któż to może być?

— Myślę, że — majętny obywatel ze wsi — rzekła Elwira żywo.

— Otóż, nic — nie wiem, sądzę, mówiła matka, sądzę z tych niepostrzeżonych prawie oznak jakichś, które charakteryzują ludzi, że on — nie jest wieśniakiem. Ma fizognomję miejską i pańską, pałacową.

— To być może, — ale bardzo przyzwoicie pańską.

— Nie przeczę — dodała matka.

— Niezmiernie grzeczny i nie zimny i nie odpychający, jak często ludzie grzeczni być umieją — mówiła Elwira, nauki ma dosyć, oczytany, umie kilka języków. Sam mówił, że kończył uniwersytet w Berlinie. Gdyby u wód w istocie było więcéj swobody i zaraz z tego nie robiono plotek, tobym go choć na naszą nieszczególną hotelową herbatę prosić kazała.

— To niewypada — odezwała się matka — najzacniejszy z ludzi nawet, myślałby, że go ciągniemy..

— A, niechże Bóg broni! załamując ręce zawołała Elwira, nie zaprosiemy go, kiedy tak, to pewno, powinien sam mieć odwagę przyjść przecież z wizytą.

Domawiała tych wyrazów panna Elwira, gdy do drzwi z lekka zapukano — obie panie nagle umilkły.

młodsza pobladła nieco i nierychło odezwała się cicho. — Prosimy.

Drzwi się otworzyły, pan Gabryel w jasnych lila rękawiczkach, ubrany jakby nie do Krynicy, z kapeluszem w ręku, powoli wsunął się do pokoju. Dwie kobiety spojrzały po sobie — Elwira się zarumieniła, matka zmięszała... przywitanie z obu stron było zaambarasowane... przed krzesłem matki stał stół, fotel gotowy.. Pani Domska wskazała gościowi miejsce, Elwira prędko usiadła z drugiéj strony.

— W taki dzień słotny, można i natrętowi przebaczyć — rzekł Pilawski — deszcz powinien być moją wymówką, panie pewnie sobie nie porobiły znajomości.

— I robić ich nie myślimy! — wrzuciła Elwira.

— Ja także nie mam zamiaru — rzekł gość — ale z miléj téj znajomości pani, któréj mi sam los nastręczył, pozwolę sobie korzystać — właściwie przyszedłem jednak z interesem także. Mówił mi służący, że pani sobie życzyła mieć fortepian. Starałem się dowiedzieć.. W Krynicy jest pono jeden tylko, ten stoi w salonie Warszawskiego hotelu, i na godziny się tylko najmuje.

— Niestety! — roześmiała się Elwira. — Z fortepianu najętego na godzinę, korzystać bym nie mogła. Podobnaż na zawołanie od czwartéj do piątéj mieć usposobienie do gry. To by się stało męczarnią zamiast przyjemności.

— Czybym nie mógł służyć choć książkami? — spytał gość. — Mam z sobą trochę francuzkich, niemieckich, a z polskich: Mickiewicza, Krasińskiego i kilka nowszych rzeczy.

— Ależ pan je przywiózł dla siebie — a pozbawić go?..

— Ja w téj chwili uczę się czegoś — rzekł uśmiechając się gość — a więc z książek tych niewiele korzystam. Przytem — dorzucił — zdaje mi się, że, mimo najmocniejszego postanowienia pozostania na boku i po za towarzystwem kąpielowem, może mi się to nie uda. Już dziś miałem kogoś, który przychodził na zwiady, i usiłował mnie pociągnąć.

— A pan...? — spytała Elwira.

— Heroicznie się oparłem temu, — ze smutnym uśmiechem, rzekł Pilawski. — Według mnie człowiek nieznany musi dla godności swéj unikać wchodzenia w towarzystwo, w którem za nim nic nie mówi, nie świadczy.

— To prawda — odezwała się Domska — jest to zawsze przykrém być niewłaściwie ocenianym, czy za wysoko, czy za nisko.

— Zwłaszcza, — rzekł Pilawski, — iż w świecie do zupełnéj oceny człowieka należą niezbędnie dodatkowe różne przymioty, któreby wyposażeniem nazwać można. Jak u nas naprzykład...

— Ah, wszędzie — przerwała Elwira.

— A u nas także, — mówił Pilawski — osobiste człowieka przymioty i wady, kompensują się, podnoszą, cieniują lub wyświetlają od okoliczności dodatkowych — fortuny, imienia, stanu, klasy, stosunków. Tam, gdzie te akcydensa są wątpliwe i ocenienie człowieka zawsze niepewne, dwuznaczne...

Obie kobiety słuchały tego aforyzmu ze spuszczonemi oczyma, starsza zlekka westchnęła.. Elwira podniosła wzrok prędzéj, śmieléj i odezwała się:

— To prawda wielka — mało jest ludzi, którzyby tych *circonstences agravantes* lub *atténuantes* nie wzięli w rachubę.

— I bardzo ich o to obwiniać nie należy, — odezwała się Domska. — Są to termometra, są to znaki przewodnie, prowadzące do domyślania się wnętrza człowieka, wychowanie, otoczenie i majątek, stosunki, tworzą nas jakiemi jesteśmy, nie dziw że wniknąć chcąc w kogoś, szukamy oznak pewnych.. dla odgadnięcia.

— Tak, — rzekł Pilawski, — tylko znowu znaki te dziś bardzo pewne, jutro być mogą fałszywe. Warunki wychowania, nabycia wiedzy i ogłady, wyrobienia charakteru zmieniają się z czasem, z atmosferą otaczającą i... mylimy się.

— Dziś właśnie najczęściéj — dodała Elwira, — bo i mężczyzni i kobiety, wcale inaczéj niż dawniéj kształcą się i wychowują.

Rozmowa przerwaną została na chwilę, a między prawie obcemi, niezmiernie trudno rozpocząć na nowo, gdy raz wątła jéj nić pęknie. Pilawski brał już za kapelusz, gdy przypadkowe może spojrzenie panny Elwiry naprzód ku niemu, potem ku oknu, po którem spływały deszczu strumienie, wstrzymało go.

— Pan więc jak my — odezwała się matka — skazujesz się dobrowolnie na samotność... i nie będziesz pan znajomości szukał?

— Mocne mam postanowienie, — rzekł Pilawski. Samotność jest czasem jak pewien rodzaj diety potrzebną człowiekowi, zwłaszcza nawykłemu lub zmuszonemu do ocierania się ciągle i nadto o ludzi.

— Pan zwykle mieszkasz w mieście? — spytała trochę niedyskretnie Elwira.

— Tak jest, pani — krótko odparł Pilawski — mieszkam w Warszawie.

Być może, iż panna spodziewała się czegoś więcéj, jakiegoś szczegółu i skazówki, zajęć, położenia nieznajomego młodzieńca, lecz została zawiedzioną. Matka poczuła niewłaściwość zapytania i naprawiając ją, dodała: — My także zmuszone jesteśmy siedzieć i w mieście, i — co gorzéj, w mieście obcem i nie sympatycznem wcale.

Pan Gabrjel popatrzał i nie pytał się o nic więcéj. Mówiono jeszcze chwilę o Warszawie, o Berlinie, o stolicach Europejskich, które i tym paniom, i temu panu były bardzo dobrze znane. Pilawski wreszcie podniósł się i uznawszy, że na pierwsze odwiedziny siedział już może nawet trochę za długo — odszedł.

Drugiego dopiero dnia wieczorem chmury się rozbiegły, blade niebo, jakby burzą i słotą zmęczone, wyjrzało nareszcie, i na dzień następny zapowiadała się niezawodna pogoda, która wszystkich stęsknionych więzieniem po samotnych izdebkach, niezmiernie uradowała. Nawet pan Pilawski, który naprzemiany studiował Anatomję opisową i czytał Thackeray'a, rysował coś w albumie i palił cygara, chodząc po pokoiku, rozweselił się, zobaczywszy słońce zwiastujące pogodę upragnioną. Wieczór nadchodził... było już za późno odwiedzić panią Domską, chociaż wielką miał do tego ochotę, postanowił więc już się rozebrać i do wczesnego przygotowywać spoczynku, gdy puk, puk do drzwi dał się słyszeć i natychmiast prawie wsunął się pan Surwiński z grzecznem uśmieszkiem swoim.

— Przepraszam bardzo, — dwa dni niewoli, panie dobrodzieju!... a! przeklęte dni, nieprzeżyte! Musiałeś się pan dobrodziéj zanudzić! — zawołał od progu, — przychodzę z propozycyjką...

Pilawski stał, czekając jaśniejszego wytłomaczenia.

— Pan w tem więzieniu możesz umrzeć... z dobrego serca przychodzę proponować... bez ceremonij na wieczorek do Aksakowicza.

Gospodarz jeszcze się jakoś na odpowiedź nie zabrał.

— Jestem upoważniony prosić pana dobrodzieja, całe prawie towarzystwo męzkie dziś tam będzie. Cóż to panu szkodzi... bez ceremonji na chwileczkę..

— Wielcem panu wdzięczen — odezwał się Pilawski, — ale kiedy już tak mnie przynaglasz... muszę być otwartym..

Surwiński mocno uszy nastawił, miał więc zostać powiernikiem tajemniczego człowieka.

— Wchodząc choć na chwilę w towarzystwo, nie dosyć jest — rzekł pan Gabryel, — przynieść nazwisko swoje — należy jawnie wykazać pozycję socjalną, stanowisko zajmowane w społeczeństwie, aby nie oszukiwać nikogo — otóż — szanowny panie, — ja, jakkolwiek nic do tajenia nie mam, czegobym miał powody się wstydzić — z pewnych względów jednak... w téj chwili nie radbym... nie życzyłbym sobie.

— Ale, panie dobrodzieju, — żywo podchwycił Surwiński, uderzając się w piersi — my to rozumiemy, my to doskonale pojmujemy, są okoliczności, są wypadki... Ale ma najmniejszéj potrzeby... Nikt od pana wymagać nie może i nie będzie.

Pan Gabryel się zawahał, znać było jakiś frasunek, lecz Karol naglił, nacierał, prosił — i po chwili rozmysłu, jakby powziął postanowienie jakieś heroiczne, pan Pilawski chwycił kapelusz, rękawiczki, laseczkę, pozamykał pudełka, i odwracając się rzekł:

— Służę panu!

Surwiński od dawna nie był tak szczęśliwym, tryumfującym... On więc — jemu danem było wprowadzić tę dostojną osobę, w któréj twarzy tak widocznie napiętnowane było znakomite pochodzenie, na łono tutejszego towarzystwa.

W pokoju pana Aksakowicza byli już niemal wszyscy zebrani, a kieliszki powoli krążyły, rozdawano karty do wista, — rozmowa o deszczu i mgle nader szła ożywioną, gdy w progu ukazał się przodem Surwiński, wprost przerzynający się ku gospodarzowi, z niewidzianém zuchwalstwem, a za nim szykowna i piękna postać pana Pilawskiego, na którą oczy się wszystkich zwróciły. Nikt go jeszcze mówiącym nie słyszał, — ciekawość była pobudzoną do najwyższego stopnia, bo choć domysły szanownego pana Karola zdawały się niedorzecznemi, oddawano sprawiedliwość dystyngowanéj powierzchowności pana Gabryela. Każdy wszakże pragnął posłyszeć go, ocenić wykształcenie i z mowy a obejścia, wyciągnąć domysł jakiś o stanie i pochodzeniu przybysza. W chwili gdy został zaprezentowanym gospodarzowi i wszystkim potém przytomnym, obstąpiono go kołem, śledzono oczami, każdy zdawał się spieszyć, by zrobić pretekst jakiś zawiązania z nim rozmowy. Przypadł jednak ten szczęśliwy los gospodarzowi, który jak był człek zacny, tak w pisaniu i kunsztownem prowadzeniu rozmów nie zbyt biegły.

Prosty sługa boży, więcéj czynił niż mówił — i na stylizację wysilać się nie lubił. Chrząknął więc, popatrzał w jasną twarz przybyłego i odezwał się:

— Ależ się nam deszcz dał we znaki! No, co prażył to prażył.

— Prawda! — uśmiechając się rzekł gość.

— Pozwoli pan kieliszeczek wina? Wytrawne! Nie zaszkodzi! — dodał Aksakowicz.

Gabryel się skłonił. Wszyscy słuchali — ale nie było czego słuchać.

— Pan dobrodziéj z Królestwa? — począł gospodarz.

— Tak jest..

— I ja także, z Płockiego... Ukłonili się sobie.

— A, niechże go licho weźmie, — na stronie rzekł hr. Żelazowski, — żeby też nie umieć rozmowy zawiązać i nic nie dobyć z człowieka.

dalej str. 7
w dodatku nr. 45

W tem major Hotkiewicz, który już miał karty w ręku zawołał:

— Gospodarzu! Signor Aksakowicz... dajesz *mauvais exemple, so geht's nicht.. times is a money. Do dzieła* mości dobrodzieju! *Qui si lavora*, siadajmy...

Aksakowicz skłonił się i pobiegł do stolika, a pan Pilawski został z adjutantem swym nieodstępnym u boków, jakoś najbliżéj hr. Żelazowskiego. Ten już miał najmocniejsze postanowienie, dobyć z niego jak się wyrażał wnętrzności. Skazany na tę operację zdawał się wcale jéj ani domyślać, ani lękać.

— No co pan powiadasz o téj... wojnie!-rozpoczął jadąc bardzo zdaleka sportsman.—Słyszane to są rzeczy! ta potęga militarna Prus, to niedołęztwo nasze... te następujące po sobie wypadki.. Wszyscyśmy znając naszego austryjackiego żołnierza, jednego z najpierwszych w Europie rokowali. zwycięztwo.. a tu..

— Rzeczy są bardzo dziwne w istocie-odezwał się Pilawski powoli — ale wyznaję, że nie wiele się znam na wojennych sprawach. Słyszałem tylko to zdanie, które się dziś własnie sprawdzić może, iż nie żołnierz, ale dowódzcy i naczelnicy stanowią o wojny losie..

Żelazowski popatrzał mu bystro w oczy i zamilkł, czuł, że tamten miał słuszność, choć jak powiadał skromnie, na tych sprawach się nie rozumiał...

— Pan wprost z Warszawy?-począł z innéj beczki.

— Tak jest-rzekł Pilawski krótko.

— Pan zawsze mieszka tam?

— Prawie ciągle — odparł obojętnie badany — odbywam jednak dosyć często podróże.

Żelazowski, który raz w życiu tylko puścił się do Londynu na kursa dla studjowania koni i bardzo był dumnym z téj wycieczki, mniéj pospolitéj — spytał dosyć niezgrabnie-Był pan w Londynie?

— Bywam tam parę razy do roku.

— Parę razy?-powtórzył Żelazowski — to pan chyba ma tam interesa?

— Mam je w istocie.

Surwiński słuchał i notował. Nie wydało to mu się wcale dziwnem, że taki pan hrabia miał interesa w Anglji, teraz w ogólności im kto jest większym panem, tem więcéj i rozleglejsze musi mieć interesa... Panowie idą na wyścigi z bankierami. Potwierdziło więc to jeszcze domysły pana Karola, a Żelazowskiemu też dało wysoką opinję o człowieku. Hrabia był po za turfem bardo pospolitym i niezręcznym a w rozmowie nigdy nie umiał przejścia złagodzić, ozwał się więc dość nietrafnie-Lubi pan konie?

— Dosyć —rzekł uśmiechając się Gabryel.

— Bo to moja passja — odparł hrabia.

Nastąpiło milczenie.

— Jak się panu nasz kraj podoba?

— Pod względem malowniczym-bardzo!-rzekł Pilawski.

— A z innych?-wtrącił Grejfer.

— Poznać go nie miałem sposobności.

Znowu przerwa. Rozmawiać pragnący spoglądali po sobie. Jakoś nie szło.

Oczyma badano pilnie przybysza i nie było nikogo, ktoby mu nie oddał sprawiedliwości, iż z nich wszystkich najbardziéj *chic* wyglądał. Ubrany był z wielką prostotą i smakiem wedle wszelkich prawideł mody zazdrościli mu wszyscy. Zaproszono go do gry, wymówił się, że nie ma zwyczaju grywać, z kieliszkiem obchodził się nader obojętnie. Grejfer, który znał wiele osób w Warszawie, wrzucił parę pytań o hrabinéj z Wilanowa i o hrabi... o księciu, o panu tym i owym, badając czy ich znał p. Pilawski — wszyscy oni byli mu choć z nazwisk i stosunków znani, o wszystkich wiedział gdzie się obracali, kto wyjechał, kto był na wsi, ale nie chwalił się bliższemi stosunkami. Surwiński słuchał bacznie, a ubolewał w duchu, iż niedyskrecją popełniono. Zaczęto naostatek mówić o zabawach, o pikniku projektowanym, o urządzeniu go, Pilawski tym czasem wpadł na Dr. Werter'a... i rozpoczął z nim nudną rozmowę jakąś o historji naturalnéj.

— To jakiś literat — rzekł Żelazowski pocichu.

— Co nie przeszkadza, żeby nie miał być... wysokiego rodu-dorzucił uparty Surwiński-teraz wszyscy niemal książęta są historykami, archeologami, poetami lub artystami.

Dobra część wieczora upłynęła.. Wszyscy niemal z kolei ocierali się o przybyłego, każdy uznawał że ma do czynienia z dobrze wychowanym i niepospolitym człowiekiem — po nad ten ogólnik nie wybrnął nikt.

— *Il est diablement boutonné*!-dokończył po cichu Żelazowski — djabli też go wiedzą co za jeden.

Ku jedenastéj towarzystwo się powoli wysuwać zaczęło, Surwiński który na ofiarę swoją miał oko, widząc że się Gabryel wymyka, wziął za kapelusz aby go przeprowadzić nieco.

— No i cóż pan mówi o naszem towarzystwie? zapytał wychodząc na ulicę..

— Bardzo miłe i dystyngowane!-odparł Pilawski..

— No ludzie i ludziska!-westchnął pan Karol zwyczajnie u wód; zbierana drużyna.. ale to poczciwe z kościami..

Nie było na to odpowiedzi szli jeszcze chwilkę razem, potem pan Karol na dobranoc zdjął kapelusz, a p. Pilawski powrócił pod Różę.

Nazajutrz na deptaku opowiadano sobie o panu Pilawskim, którego nazwano Warszawiakiem, zdanie powszechne było, iż młodzieniec jest dobrze wychowany i jak się zdawało majętny.. Co się tyczy rodziny, nikt o żadnych Pilawskich nie wiedział. Na składkę dał obficie złotem..

— A kto go tam wie!-rzekł z cicha hr. Żelazowski-może to w istocie magnat jakiś *incognito*!

Gdy panu Surwińskiemu tak się szczęśliwie powodziło, z drugiéj strony pracowała zacna pani Hercegowińska nad zjednaniem sobie bliższéj znajomości z panią Domską, ale tu szło nie równie trudniéj. Na przechadzkach używała wszelkich srodków, przysiadała się na ławkach, znajdowała na najodludniejszych uliczkach. W kaplicy starała się swą pobożnością zwrócić uwagę i zakrystyjnemi znajomościami. Opiekowala się widocznie chłopcami służącemi do mszy, bukietami na ołtarzu, krzesełkami, to wszystko jednak nie zbliżyło ją do pani Domskiéj, która nie zdawała się nawet widzieć kościelnego gospodarstwa cała zatopiona w swéj książce.. Sczęściem dla wdowy poleconą jéj została składka na dokończenie posągu matki Boskiéj, do którego pomysł dał był Grottger.. Miała więc powód odwiedzieć te panie, zajrzeć w ich mieszkanie, przekonać się z otaczających drobnostek.. czem, kim by one być mogły, a wreszcie wejść w rozmowę i znajomość zużytkować późniéj dla zbliżenia się.. Na dnie powszednie wdowa ubierała się tak niepozornie, tłomaczyła to wielka pobożność a jak ludzie mówili wielkie skąpstwo. Na ten raz wszakże musiała wystąpić, aby jéj za lada kogo nie wzięto. Nie wypadało też iść saméj, a nikt tak dalece nie ofiarował się towarzyszyć i musiała sobie zamówić siostrzeńca który był uszczęsliwiony tem, gdyż zdala widziana panna Elwira potężne na nim uczyniła wrażenie. O naznaczonym dniu i godzinie Porfiry długie blond włosy ułożył z największem staraniem, ubrał się w wiedeński swój surdut (był to ulubiony jedynak) poświęcił nowe rękawiczki, wdział najkrochmalniejszy kołnierzyk i poszedł ofiarować rękę ciotce, która miała na sobie suknię czarną jedwabną, szal koronkowy dawny ale wspaniały, złoty zegarek u paska i kapelusz *ad hoc* odnowiony. Wyglądała też wspaniale...

Siostrzeńcowi zapowiedziała wdowa pod grozą gniewu, ażeby się do rozmowy nie mięszał, siedział skromnie i nie okazywał zbytniéj, nieprzyzwoitéj ciekawości. Godzina była dobraną tak i obrachowaną, ażeby te panie znajdować się musiały w domu. Pani Hercegowińska weszła majestatycznie, sznurując usta i miodowym głosem, którego tylko przy pierwszych znajomościach zwykła była używać odezwała się:

— Panie mi darują, że się ośmielam.. Jestem prezesowa Hercegowińska z Krakowa. Celem mych natrętnych odwiedzin jest pobożny uczynek. do którego my tu fundatorki posągu N. Panny. wszystkie pobożne panie wzywamy panie mi darują...

Pani Domska spojrzała na córkę, która pobiegła po woreczek-Przepraszam, że siądę chwileczkę — dodała wdowa -jestem słaba trochę, a dziś po téj słocie prawdziwy upał.

— Bardzo gorąco — odezwała się pani Domska

— Jakże pani wody służą?-zagadnęła wdowa — prawda że miejsce ciche... spokojne, miłe..

— A tak.. tak jest.-potwierdziła gospodyni.

W téj chwili nadeszła Elwira z woreczkiem, który podała matce. Pośpiech ten nie był na rękę ciekawéj, udała więc, że nie widzi nic i spiesznie rozpoczęła rozmowę:

— Panie tu, jak widzę i obserwuję nie mają znajomości, to dosyć nudno..

— Moja matka-przerwała Elwira, którą Porfiry pożerał oczyma pochyliwszy się aż na krześle i nieco nieprzyzwoicie otwarłszy usta — moja matka słabą jest i nie mogła by nawet mając je korzystać ze znajomości.. ja zaś bardzo lubię samotność.

— Znamię to pięknéj, chrześciańskiéj duszy-dodała wdowa-lecz i ludzie, zwłaszcza w młodości potrzebni.

— Zwłaszcza — wmięszał się niezręcznie Porfiry, który chciał dowieść iż gada — zwłaszcza że tu mamy towarzystwo bardzo, bardzo piękne! Pani hrabina Parczewska pani baronowa Ormowska ze swemi kuzynkami i...

Ciotka surowo sznurując usta spojrzała nań i — zamilkł nagle zarumieniony..

— Panie zdaleka?-spytała wdowa.

— My z Berlina..-odpowiedziała Domska.

— To jest z Poznańskiego — wytłomaczyła prezesowa.

— Nie pani mieszkamy w Berlinie.

— Tego ja nie pojmuję jak można żyć w protestanckiem mieście-podchwyciła wdowa.

— Ale my tam mamy kilka kościołów.

— Zawsze to atmosfera inna — westchnęła wdowa.

Porfir się wyrwał nie zbyt szczęsliwie:

— O: atmosfera w Berlinie!. atmosfera. węglista.. pełno kominów.. i dymu..

Nikt się nie rozśmiał, ale ciotka surowo spojrzała, młodzieniec chrząknął i umilkł.

(d. c. n.)

DOMBEY I SYN

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

KAROLA DICKENSA.

(Dalszy ciąg)

— Masz oto naprzykład to wino, mówił dalej. Odbywało ono kilkakrotnie podróż do Indyi, a nawet raz opłynęło wokoło świat cały. Wyobraź sobie tedy te podróże, te noce czarne jak smoła, straszny świst wichru i ryk bałwanów.

— Grzmoty i błyskawice, deszcze, grady, nawałnice, dorzucił młody chłopak.

— O tak — mówił stary Sol — wszystko to niezawodnie przebyło to wino. A pomyśl chłopcze co się to dzieje, kiedy cały okręt trzeszczy od burzy, jakby się miał rozpaść w kawały, a wicher niby szatan harcuje z wyciem po linach i żaglach okrętu.

— I wtedy, zawołał Walter z ożywieniem, co za gwałt na pokładzie! Majtkowie wdrapują się na maszty, żeby co prędzéj zbierać żagle, a tymczasem okręt jak pijany na wszystkie strony się zatacza, lub też tańcuje w podskokach po bałwanach jak opętany...

— Tak właśnie było — przerwał żywo stary Sol, kiedy *Piękna Sally*, przepadła na wodach Baltyku w dniu..

— Czternastym lutego, 1749 roku, podchwycił Walter z nadwyczajnem ożywieniem. Było to o saméj północy, gdy kapitan padł nieżywy u stóp wielkiego masztu, zegarek jego na téj godzinie się zatrzymał.

— Na owym okręcie było pięćset beczek wina, dodał Gills. Otóż gdy majtkowie stracili wszelką nadzieję ratunku, poodbijali beczki i popiwszy się należycie, zaśpiewali chórem: *Rule Brytania*. A podczas gdy śpiewali okręt ze zgrzytem strasznym zniknął pod wodą i z całéj osady tylko pięć osób na nędznéj łódce ocalało.

—A pamiętasz wuju, okropne rozbicie *Jerzego 2*, którego wichry rzuciły na skaliste wybrzeża Kornwalii, 4 Marca roku 1771 na dwie godziny przed świtem? Na okręcie było z jakie dwieście koni, które poodwiązywawszy się podczas burzy, połamały i poniszczyły wszystko wokoło siebie. Rozszalałe od trwogi, nie mogąc się utrzymać na nogach od silnego kołysania okrętu, te zwierzęta rzucały się i padały jedne na drugie, kąsając się i przywalając nawzajem, z dzikiem rżeniem tak podobnem do ludzkich krzyków, że cała osada uwierzyła iż zgraja szatanów statek opanowała. Najdzielniejsi majtkowie bezprzytomni od trwogi, rzucali się w morze z rozpaczy; zaledwie dwóch z nich pozostało przy życiu i ci opowiedzieli straszliwe szczegóły owego rozbicia.

— A kiedy to *Polyphemus*, odezwał się stary Sol, wybrał się do Indji Wschodnich pod kierunkiem kapitana Jana Brown z Deptfordu....

— Był własnością Wiggsa i spółki — wtrącił Walter — i miał objętość trzysta beczek...

— Otóż ów Polyphemus zginął od pożaru przy samych brzegach Jamaiki, po najpomyślniejszéj żegludze, wśród nocy....

— Było na nim dwóch braci, przerwał Walter mówiąc z gorączkową szybkością, a ponieważ obadwaj nie mogli się pomieścić na jedynéj pozostałéj łódce, żaden zająć nie chciał na niéj miejsca. Wreszcie starszy pochwyciwszy wpół młodszego, rzucił go w łódkę. Ale tamten podniosłszy się, zawołał na głos: Edwardzie, pamiętaj o narzeczonéj która cię wyczekuje! Jam dziecko jeszcze, mnie nikt nie wygląda, — chodź tu, masz moje miejsce! I to mówiąc, skoczył do morza.

Wśród tego opowiadania, Walter wstał był z krzesła. Twarz jego była rozgorączkowana, oczy ogniem pałały, słowa szybko z ust mu wybiegały. Spojrzawszy na niego, Sol opamiętał się znagła, jakby otaczająca go zwykle mgła, na chwilę się była rozwiała, i odrazu urwał rozmowę, którą przedtem zdawał się chcieć dalej prowadzić. Zakaszlał, odchrząknął, potem rzekł:

— Dajmy no temu pokój, chłopcze, mamy o czem innem do pomówienia.

Należy tu wyznać, że dobroduszny wuj Waltera, sam rozmiłowany w nadzwyczajnych przygodach żeglarskiego życia, z którem zajęcia jego ciągłą styczność sprowadzały, niemało się przyczynił do rozwinięcia u siostrzeńca tychże samych upodobań. Wszystkie zaś przykłady jakie przytaczał dla odstręczenia Waltera od owego niebezpiecznego zawodu, wprost przeciwny na nim wywarły skutek, jak to zwykle bywa w podobnych razach.

Właśnie w chwili gdy Sol probował w ten sposób zmienić tok myśli młodzieńca, nastręczyła się ku temu sposobność w postaci pojawiającego się na progu gościa. Był to gentleman ubrany w dostatni frak granatowy i mający to w sobie szczególnego, że w miejscu prawéj ręki, wyglądał mu stalowy haczyk z rękawa. W lewéj zaś trzymał kij tak chropowaty od rozlicznych naróśli, jak był nos jego; brwi miał gęste i najeżone, a na szyi nosił czarny krawat podtrzymujący kołnierz od koszuli tak gruby i wysoki, że wyglądał nieco na mały żagiel rozpięty. Oczewiście, nie na kogo innego czekał przygotowany kieliszek, i gość ów wiedział dobrze o tem, — bowiem zdjąwszy z siebie zwierzchnie ubranie i zawiesiwszy na gwoździu za drzwiami wielce twardy kapelusz, od którego pozostała mu czerwona obręcz na czole, postawił krzesło naprzeciw owego kieliszka i sam na niem zasiadł.

Kapitan Cutlle, tak się nazywał ów jegomość, był podobno kiedyś sternikiem, majtkiem czy też korsarzem, i naprawdę ze wszystkiem wyglądał na wytrawnego morskiego *włóczęgę*.

Twarz jego, przypominająca barwą spiżowe posągi, rozjaśniła się nieco gdy ściskał rękę gospodarza domu i jego siostrzeńca, ale powitanie ograniczył na dwóch tylko słowach:

— Jakże zdrowie?

— Dobrze — wszystko dobrze chwała Bogu — odpowiedział Gills podsuwając mu butelkę.

Kapitan Cuttle wziął ją, obejrzał, potem powąchał, wreszcie rzekł z wyrazem bardzo znaczącym:

— Ho! ho, to mi święto!

— Tak święto.... odpowiedział stary Sol.

Kapitan nalał sobie pełny kieliszek i począł pogwizdywać po cichu z wyraźnem zadowoleniem.

Po chwili, poprawiwszy dość przerzedzone włosy stalowym haczykiem, który mu rękę zastępował, rzekł do Waltera, wskazując na Gillsa:

— Oto kogo ci radzę kochać i szanować, chłopcze; oto komu ci radzę być zawsze posłusznym. Jeśli to uczynisz, dobrze na tem wyjdziesz.

To rzekłszy, kapitan zamilkł, wyraźnie ucieszony własną wymową i przez czas jakiś nie odzywał się więcéj. Dopiero gdy stary Sol wziął świecę, żeby z nim przejść do sklepu, zwrócił się do Waltera i rzekł jakby w dalszym ciągu rozmowy:

— Powiadam ci, gdyby twój wuj chciał zegar zrobić, toby i tego dokazał.

— Nie zdziwiłoby mię to bynajmniéj kapitanie, odparł Walter.

— I to zegar, któryby szedł wybornie, dodał Cuttle naśladując ręką ruchy wahadła. Ho, ho! i jakby szedł jeszcze!

Po chwili, rzekł do Salomona:

— Ile razy chcę coś dobrze powiedzieć, nigdy mi słów nie zbraknie, a to dla tego właśnie, że nimi nie szafuję.

Po tych wyrazach, kapitan zamilkł znowu na czas jakiś podczas którego zdawał się wyłącznie zajęty oglądaniem owego wymarzonego zegara, i przypatrywał się Walterowi tak uważnie, jak gdyby twarz młodzieńca była cyferblatem onego arcydzieła.

— Oj, uczony to człowiek, uczony całą gębą — rzekł wreszcie kiwając znacząco swym haczykiem w kierunku sklepu. Patrzcie no! to mi zbiór co się zowie. Ziemia — woda — wiatr — wszystko tu znajdzie co mu się należy. Chcesz polecieć balonem? możesz. Chcesz bujać po morzu, albo się na dno jego spuścić? masz czego ci potrzeba. Radbyś może wziąść na szalki gwiazdę biegunową i przeważyć ją co do łuta? on ci i to potrafi.

Godzi się wnosić z tych uwag, że poszanowanie kapitana dla przyrządów sklep zapełniających, nie bardzo dokładnie umiało określić różnicę dzielącą ich wynalazców od kupca który niemi handlował.

— Ha! ciągnął dalej z westchnieniem, pięknie to znać i rozumieć te rzeczy, ale też dobrze ich nie rozumieć. A nawet, sam nie wiem co z dwojga lepsze. Co to za rozkosz naprzykład siedzieć tu sobie spokojnie, i widzieć, że mogę człowieka zważyć, wymierzyć,namagnesować, — a on ani się potrzebuje turbować jakim to sposobem.

Dzięki wybornéj maderze, któréj w tym razie dopomagała szczera chęć umocnienia Waltera w jego chwalebnych postanowieniach, kapitan był w dniu owym niezwykle rozmowny, tak iż wreszcie upamiętawszy się, sam się zdziwił temu usposobieniu, stanowiącemu jedyny zapewne wyjątek, wśród błogich wspomnień milczących obiadów, których od lat dziesięciu w tymże samym pokoju bywał uczestnikiem.

Przypomnienie to uczyniło go nieco posępniejszym, czy też według jego mniemania, tylko rozsądniejszym, i oddał się znowu rozkoszom milczenia.

— Cóż to znaczy, Nedzie, rzekł do niego Salomon wracając ze sklepu do którego coraz zaglądał — nic nie pijesz, jak widzę? Nalejże sobie wina, trzebaż nam przecie skończyć butelkę.

— Dobrze, odpowiedział Ned Cutlle, napełniając swój kieliszek, ależ dajmy i trochę chłopcu.

— Dziękuję, już mam dosyć, odpowiedział Walter,

— Nie, nie dosyć, musimy razem skończyć butelkę, rzekł Salomon. Za zdrowie firmy... słuchaj no Nedzie, jakiejże firmy? Oto firmy Waltera Gaya! A kto to wie? Może to być kiedyś jego firma, tytułem wspólki, czy jak -- czemużby nie?

— Albo'ż się Ryszard Wittington nie ożenił z córką swego pryncypała? wtrącił kapitan. Ryszard Wittington, później lord major Londynu — słuchaj chłopcze i pamiętaj!

— I chociaż pan Dombey nie ma córki.., ciągnął dalej Sol.

— Ależ ma, właśnie że ma wujaszku, przerwał z uśmiechem zarumieniony młodzieniec.

— Jakto pan Dombey ma córkę? spytał starzec.

— Ma, wiem o tem z pewnością, odpowiedział Walter. Nie dalej jak dziś jeszcze mówiono o tém w biurze, a nawet powiadano — dodał ciszéj — że jéj ojciec nie cierpi, że ją zostawia w zaniedbaniu

pomiędzy sługami, a tylko synem jest zajęty; że już dziś, kiedy ten dzieciak jeszcze przy mamce, marzy tylko o chwili, gdy go do interesu przypuści; że teraz każe nawet częściéj spisywać bilanse i inwentarze, żeby wszystko było zawsze w porządku. Widziano nawet, jak myśląc, że nikt na niego nie patrzy, przechadzał się wśród doków, rozglądając się po swoich okrętach i po pakach z towarami z takiem rozpromienieniem, jak gdyby już do wspólki z synem posiadał owe skarby. Czy to wszystko prawda? tego nie wiem, ale tak w kantorze powiadają.

— Patrzcie no go — już wie dokładnie o wszystkiem co jéj dotyczy, zawołał śmiejąc się stary Sol.

— E, co mnie tam ona może obchodzić, mój wujaszku, odrzekł Walter nieco zmięszany; ot, mówią o tém wkoło mnie, to przecież sobie uszu zatkać nie mogę.

— Rozumiem teraz kochanku, że ci syn może być nieco na zawadzie, odezwał się stary Sol, daléj żartując.

— A nawet z czasem, może mu kością stanąć w gardle, dodał wesoło kapitan.

— Z tem wszystkiem, wypijmy jego zdrowie, zawołał ochoczo stary Sol. Panowie wnoszę zdrowie Dombey'ów, ojca i syna!

— Wybornie wujaszku, spełniam je chętnie, odpowiedział całkiem rozweselony Walter. Ale skoro była tu mowa i o *niéj*, i ponieważ wujaszek skojarzył ją niejako ze mną, dowodząc że wiem najlepiéj o wszystkiem, co się jéj tyczy, mam sobie za obowiązek, zmienić nieco toast i zawołam: Zdrowie Dombeya, jego syna i jego córki!

V.

Chrzest i stopniowe rozwijanie się Pawełka.

Zdrowy pokarm mamki, wyraźnie szedł w pożytek synowi Dombeya. Rosł i tył coraz bardziéj, a także z dniem każdym coraz więcéj się rozwijał, Panna Tox odwiedzała codzień Pawełka, nie szczędząc mu oznak przywiązania i troskliwości. Uczucia te oceniał należycie Dombey i stopniowo umocowywało się w nim przekonanie, że kobieta która potrafiła tak się zespolić z przyszłością firmy Dombey, musiała być wyjątkowego umysłu i serca osobą, zasługującą ze wszech miar na jego łaskawe względy. Skutkiem tego, stał się dla niéj tyle uprzejmym, że ukłon jakim ją obdarzał nabrał cechy całkiem odrębnéj, i że po kilkakrotnie nawet pani Chick otrzymała od brata zaszczytne polecenie uszczęśliwienia przyjaciołki, kilku życzliwemi wyrazami, jak naprzykład: Powiesz Luizo pannie Tox, że ją mam za bardzo dobrą osobę; — lub też: możesz zapewnić pannę Tox, że jéj jestem bardzo obowiązanym... i tym podobne uprzejmości, które obdarowanéj najżywszą radość sprawiały.

Stało się u niéj z czasem poniekąd nawyknieniem zapewniać panią Chick, że nic w świecie nie było w stanie żywiéj ją zajmować, jak zdrowie i rozwijanie się Pawełka. Należy jednak wyznać, że badając najstaranniéj obejście i zachowanie się panny Tox, niepodobna było nic w niéj dostrzedz, coby stawało w sprzeczności z tém zapewnieniem. Kiedy Polly karmiła spadkobiercę firmy Dombey, czuła ta osoba ani na chwilę jéj nie odstępowała, jakby sama miała udział w téj czynności, któréj widok był dla niéj najsłodszą rozkoszą. Rozbieranie dziecka, kąpanie go i ubieranie, wywoływało u panny Tox, objawy zachwytu, którego miejsce zajmowało najżywsze współczucie, ile stan zdrowia Pawełka wymagał zastosowania niewinnych jakich środków lekarskich. Razu jednego, podczas, gdy się skromnie ukryła po za szafą i czekała końca jego rozbierania, Dombey wszedł z siostrą do pokoju. Pawełek ubrany tylko w koszulkę, czepiał się szyi mamki. Gdy go w tym stanie zobaczyła panna Tox, wyjrzawszy ze swego ukrycia, została przejętą tak silnym podziwem, że mimo woli zawołała:

— Ach panie! czy to nie jest prawdziwy amorek? Ale zaledwie te zuchwałe słowa wyrzekła, schroniła się za drzwi skromnie zarumieniona.

— Uważam Luizo, rzekł pewnego dnia Dombey do siostry, że wypada, abym wyrażił moją wdzięczność twéj przyjaciołce, jakim małym podarunkiem. Chcę to uczynić przy okazji chrztu Pawełka, a uczynię to z prawdziwą przyjemnością, bowiem cenię w téj osobie żywe zajęcie się tem dzieckiem, a także i ów — nadto rzadki niestety — przymiot, że ma dokładne pojęcie o własnem stanowisku.

Słowa te, we właściwem ich znaczeniu, wyrażały, że w oczach Dombeya pojęcie własnego stanowiska, dawało się ocenić stopniem poszanowania okazywanego dla stanowiska jakie on zajmował. Człowiek ten — a niemało spotykamy jemu podobnych — uważał za najwyższy rozum i zasługę, u drugich cześć i podziw, jaki jego wyższość w nich obudzała.

— Oddajesz zupełną sprawiedliwość pannie Tox, kochany Pawle, odpowiedziała mu siostra; nie dziwi mię to z resztą od człowieka tyle co ty rozumnego. Widzę że umiałeś poznać tę zacną osobę, dla któréj — mogę to zapewnić — nie istnieje w całéj ludzkiéj mowie wyrazu bardziéj czcią przejmującego nad te trzy słowa: Dombey i syn!

— Wierzę temu, odparł z godnością Dombey — wierzę najzupełniéj i twierdzę, że przynosi to zaszczyt pannie Tox.

— Co zaś do podarunku, którym chcesz ją obdarzyć, ciągnęła daléj pani Chick, jakim bądź on będzie, mogę cię zapewnić kochany Pawle, że pozostanie przechowany u niéj jakby jaka świętość. Mojem zdaniem wszelako, miałbyś sposób, bardziéj jeszcze pochlebny a nawet wielce zaszczytny okazania, że umiałeś ocenić jéj przyjaźń.

— Jakiż naprzykład? zapytał Dombey.

— Podanie dziecięcia do chrztu, mówiła daléj pani Chick, zapewnia na przyszłość stosunek nie pozostający bez pewnego wpływu...

— Nie rozumiem w czemby mógł nadal obowiązywać mojego syna podobny stosunek — odparł sucho Dombey.

— Masz słuszność — masz zupełną słuszność bracie, odrzekła pani Chick, ze skwapliwością mającą na celu osłonienie zbyt szybkiego zwrotu w przekonaniu; — poznaję ciebie w tém zdaniu i nie spodziewałam się usłyszeć innego. To samo właśnie chciałam powiedzieć i dla tego tylko o tem wspomniałam, że... (tu pani Chick zawahała się nieco, nie bardzo sama wiedząc co ma daléj począć) że możebyś uważał za stosowne, pozwolić pannie Tox być chrzestną matką tego drogiego dziecięcia, w takim razie gdyby naprzykład zastępowała inną jaką wybraną przez ciebie osobę. Nie potrzebuję dodać, że wybór ten uszczęśliwiłby ją nad wszelki wyraz.

— Luizo, rzekł Dombey po chwili namysłu, niepodobna jest przypuścić.

— Tak właśnie — i ja myślałam — podchwyciła z żywością pani Chick, uprzedzając przewidywaną odmowę, — i ani sądziłam aby mogło być inaczéj.

Dombey spojrzał na siostrę z wyrazem zniecierpliwienia.

— Zmiłuj się, oszczędzaj moje nerwy, kochany Pawle, zawołała z westchnieniem pani Chick. Wszystko mię teraz męczy i rozstraja; jestem tak bezsilna od śmierci naszéj biednéj Fanny...

Dombey rzucił wzrokiem na chustkę, którą siostra oczy obcierała, potém mówił daléj:

— Nie podobna nawet przypuścić...

— Toż samo i ja powiadam, — dorzuciła półgłosem pani Chick.

— Na miłość Boga, Luizo, dajże pokój, przerwał, jéj Dombey.

— Ależ mój drogi Pawle — zawołała łzawym głosem, lecz z wielką godnością pani Chick, dajże mi się przecie wygadać. Wiem dobrze, że nie jestem ani tak uczona, ani tak wymowna jak ty; wszelako to co powiedziałam, powiedziałam z przekonania i powtórzyłabym to w godzinę śmierci. Rozumiesz Pawle? w godzinę śmierci, bo przecież (tu pani Chick przybrała postawę bardziéj jeszcze godnością nacechowaną) przecież wolno mi spotkać się z tobą w zdaniu, że niepodobna jest to nawet przypuścić.

Dombey podszedł ku oknu, potem się zawrócił i rzekł:

— Ani podobna nawet przypuścić (tu pani Chick kiwnęła jeszcze głową potakująco) abym przyznał komukolwiek podobne prawa względem mojego syna, gdyby zaś tak było, inne osoby miałyby w tym razie pierwszeństwo nad panną Tox. Ale nie ma co o tem i mówić, gdyż w zasadzie nie uznaję tego prawa. Skoro czas nadejdzie, potrafimy we dwóch z Pawłem, dać sobie radę i kierować naszemi interesami bez niczyjéj pomocy. Sądź tedy że jestem w możności obejść się całkiem bez téj podpory, któréj drudzy szukają u obcych dla swych dzieci. O ile mi się zdaje, wyższy jestem nad te środki tuzinkowe, gardzę też niemi. Byleby Paweł szczęśliwie przebył lata dziecinne, stanie się on niebawem godnym zawodu, który go czeka; potrafi utrzymać, a nawet podnieść znaczenie naszego domu. Niczego mi więc nie potrzeba, a tymczasem ja mu wystarczam w zupełności. Wcale sobie nie życzę aby ktokolwiek stawał pomiędzy mną i synem, wolę zatem dać dowód że umiałem ocenić przyzwoite zachowanie i przychylność osoby mi już znanéj, niżeli szukać w tym razie kogo innego. Zgadzam się więc na wybór o jakim wspomniałaś, i nikogo więcéj nie poproszę na ten obrząd, prócz ciebie i twego męża.

W téj przemowie, wygłoszonéj z prawdziwie majestatyczną godnością, Dombey zdradził najskrytsze duszy swéj uczucia, a mianowicie dręczącą go już obawę, aby ktoś nie stanął kiedy pomiędzy nim a synem, i aby duma jego nie została w przyszłości upokorzoną podobnym podziałem i porównaniem, mogącem wyjść nie na jego korzyść. W całym ciągu życia, Dombey nie szukał u nikogo przyjaźni, u nikogo też jéj nie napotkał. Obecnie, kiedy to zimne serce skupiło wszystką swą siłę uczucia w ojcowskich nadziejach świetnéj przyszłości syna, nie stopniały w niem lody zdawna nagromadzone, ale raczéj stężały tem bardziéj, przystawszy do nowego przedmiotu owego samolubnego przywiązania, aby z niem utworzyć jedną, na zawsze skamieniałą bryłę.

Tak tedy panna Tox została wyniesiona prawem swojéj nijakości na godność matki chrzestnéj Pawełka, a zarazem Dombey oświadczył siostrze, iż życzył aby obrzęd już i tak opóźniony, odbył się niezwłocznie. Skutkiem tego, pani Chick pożegnała niebawem brata i pospieszyła zawiadomić przyjaciołkę o szczęściu jakie ją czekało.

Tego wieczora, zwykła cisza nie panowała w pokojach zajmowanych przez Pawełka; bowiem pani Chick i panna Tox wyprawiały same sobie wesołą

herbatkę, ku niemałéj zgrozie Zuzi Nipper, która ulżyła sobie o tyle przynajmniéj, że wygrażała pięścią z po za drzwi tym paniom, ściskała pogardliwie ramionami wyjmując filiżanki z kredensu i uśmiechała się ironicznie szukając czegoś po szufladach.

Bądź co bądź, dobry humor obu przyjaciołek nic nie ucierpiał na tem złem usposobieniu Zuzi, którego się co prawda ani domyślały, i skoro wreszcie Pawełek usnął przebywszy szczęśliwie wszystkie koleje wieczornéj kąpieli i rozbierania, których te panie były pełnemi współczucia świadkami, zasiadły przy kominku zabierając się do herbaty. Skutkiem poczciwych starań Polly dzieci sypiały już w jednym pokoju, dotychczas jednak ani pani Chick ani panna Tox nie zwróciły uwagi na Florcię, teraz dopiero gdy spojrzały na stojące obok siebie łóżeczka, przyszła im jakoś na pamięć sierota.

— Jak ona śpi smacznie, rzekła panna Tox.

— Bo się też dobrze przez cały dzień nabiega około Pawełka — odparła pani Chick.

— Dziwne to co prawda dziecko — dodała jéj przyjaciółka.

— Ze wszystkiem matka, moja duszo, szepnęła pani Chick, jak kropla wody do niéj podobna.

— Czy doprawdy? rzekła panna Tox z wyrazem głębokiego współczucia, jakkolwiek w téj chwili nie miała na myśli nic wyraźnego, prócz tego chyba, że czegoś podobno od niéj wyczekiwano w tym razie.

— O tak, Florcia nigdy nie będzie prawdziwą córką Dombeya — rzekła z westchnieniem pani Chick. Nie będzie nią nigdy, choćby i wieki przeżyła na świecie.

Panna Tox podniosła brwi, okazując znowu ile nad tem ubolewała.

Nie umiem powiedzieć ile się nią martwię i turbuję, ciągnęła daléj pani Chick z wyrazem skromnie miarkowanego poczucia własnéj wartości. Ani sobie mogę wyobrazić co z niéj będzie gdy wyrośnie. Jakie będzie jéj stanowisko? Nie robi najmniejszego postępu w zjednaniu sobie przywiązania ojca. I czyż może być inaczéj, skoro nic w niéj nie ma z natury Dombeyów.

Na tak zwycięzki pewnik, panna Tox nie znalazła żadnéj odpowiedzi.

— Dziecię to, mówiła znowu pani Chick z głębokiem przekonaniem, ma we wszystkiem usposobienie téj biednéj poczciwéj Fanny. Nie zajdzie też daléj jak ona, jestem tego pewna. Nigdy nie potrafi opleść szyję ojca rękami, jak...

— Jak bluszcz naprzykład — poddała panna Tox.

— Jak bluszcz, powtórzyła zgadzając się na to porównanie pani Chick, nigdy nie poszuka przy piersi ojca schronienia, jak...

— Jak spłoszona sarneczka — podsunęła znowu usłużna przyjaciołka.

— Jak spłoszona sarneczka, powtórzyła za nią Luiza. Nigdy! Oh, ta biedna Fanny! A jednak, jakże mi ona była drogą!

— Nie godzi się tak oddawać smutkowi, rzekła panna Tox, głosem wzruszonym. Doprawdy, za nadto czułą jesteś, moje kochanie.

— Ach, bo czyliż nie ma każdy z nas wad swoich? mówiła w dalszym ciągu swéj przemowy pani Chick, roniąc łez kilka i smutnie kiwając głową: czyż jest kto całkiem od nich wolny? Nie byłam z pewnością bynajmniéj zaślepioną, co do błędów Fanny, a jednak, Bóg jeden wie ilem ją kochała.

Prawdopodobnie Bóg jeden wiedział także, jaką sprawiało rozkosz pani Chick któréj bratowa była aniołem dobroci, kobietą słynącą rozumem i wdziękiem, mόdz się rozczulać przypomnieniem swéj pobłażliwości względem téj istoty, podczas gdy była żoną Dombeya. Zaprawdę, należy wnosić, że cnota owa niemało posiada uroku, skoro wypełnianie jéj tyle jest poнętnem dla tych nawet, którzy do niego żadnego nie mają prawa.

Pani Chick nie przestała jeszcze ocierać oczu i miłosiernie potrząsać głową, gdy Richards przerwała jéj rozczulenie uwagą, że się Florcia obudziła. Dziewczynka siedziała w istocie na łóżeczku, a w oczach jéj duże łzy błyszczały, ale jedna tylko Polly je dostrzegła. Nikt się w téj chwili nie pochylił ku sierocie ze słodkiemi słowy, nikt jéj do siebie nie przytulił, nikt też nie usłyszał jak silnie wtedy uderzało jéj serce.

— Mamko, odezwała się patrząc uważnie w twarz téj do któréj mówiła, daj mi się położyć koło braciszka.

— Dla czegóż tego życzysz, Florciu? zapytała Polly.

— Bo mi się zdaje, że on mię kocha, odpowiedziała dziewczynka. O, daj mi pobyć przy nim, pozwól — pozwól, moja mameczko.

Pani Chick sprobowała wtrącić parę słów macierzyńskiéj namowy, aby Florcia była grzeczną i położyła się napowrót jak kochane i posłuszne dziecię, ale dziewczynka powtarzała ciągle swą prośbę, głosem przerywanym łzami.

— Nie obudzę go, doprawdy, że go nie obudzę mówiła, i zaraz potem znowu się położę — tylko mię trochę przy nim zostaw, moja mamko, bo mi się zdaje, że on mię kocha.

Richards wzięła nic nie mówiąc Florcię na ręce i zaniosła ją do łóżeczka Pawełka. Dziewczynka przytuliła się do braciszka, ale bardzo ostrożnie, aby go nie obudzić; objęła jedną rączką jego szyję a na drugiéj wsparłszy twarzyczkę, którą przysłaniały bujne pukle łzami zwilżone, pozostała tak nieruchoma, zapatrzona w brata w milczącéj zadumie.

— Biedaczka! coś się jéj pewnie przyśniło, rzekła panna Tox.

Małoznaczące to zdarzenie przerwało jednak rozmowę przedtem tak ożywioną, i wątek jéj nie dał się jakoś więcéj nawiązać. Być też może iż zwrot myśli pani Chick ku zmarłéj bratowéj, zasmucił nadto ową tyle pobłażliwą osobę aby mogła prędko przyjść do siebie. Zaraz więc po herbacie, posłano po dorożkę dla panny Tox. Zacna ta pani posiadała skutkiem długiego doświadczenia, wielką świadomość we względzie powozów do najęcia, a ponieważ była przytem bardzo nie śmiemy powiedzieć, nadto systematyczną, kwestja wsiadania jéj do dorożki i urządzenia się w niéj, wymagała zawsze pewnych przygotowań.

— Bądź tak grzeczny, Towlinsonie, rzekła do służącego, przynieść naprzód pióro i atrament; potem napiszesz numer jak najwyraźniéj.

— Zaraz, proszę pani, odpowiedział Towlinson.

— Proszę cię także, ciągnęła daléj panna Tox, żebyś oddał woźnicy ten adres a zarazem i Szellinga, tym sposobem będzie wiedział gdzie ma mnie odwieść i zrozumie, że pod żadnym pozorem ani grosza więcéj nie może się spodziewać.

— Rozumiem — ani grosza więcéj, powtórzył Towlinson.

— Bardzo mi przykro, że ci ten trud zadaję, mój kochany, dodała panna Tox z wyrazem łagodnego zamyślenia.

— Nic nie szkodzi, proszę pani.

— W takim razie, zrób mi jeszcze tę grzeczność i powiedz dorożkarzowi, że ta pani ma stryja sądowego urzędnika, i, że w razie gdyby jéj uchybił i był niegrzecznym, może się spodziewać kary surowéj. Możesz mu to powiedzieć od siebie Towlinso-nie, a powiesz prawdę, bo wiesz zapewne, że się to raz przytrafiło dorożkarzowi, że go na śmierć skazano za podobną sprawę.

— Powiem mu to wszystko, proszę pani, odpowiedział służący.

— Także cię jeszcze poproszę — rzekła znowu panna Tox, abyś pamiętał poprzewracać poduszki w powozie, albowiem — dodała zwracając się z posępnym wyrazem twarzy do pani Chick, uważałam, że bywają zwykle wilgotne.

— Rozumiem, proszę pani, odpowiedział Towlinson.

— A teraz, dobranoc mojemu ślicznemu, ukochanemu synkowi chrzestnemu, rzekła czule panna Tox, posyłając słodkie pocałunki w stronę łóżeczka, a ty moja Luizo, przyrzecz mi, że się nie będziesz więcéj martwić i, że wypijesz coś ciepłego idąc do łóżka.

W ostatecznéj chwili wyjazdu panny Tox, Zuzia Nipper potrzebowała wielkiéj siły woli, aby powstrzymać wybuch swych nieprzyjaznych względem niéj uczuć. Dopiero gdy obie panie wyszły z pokoju, dała z prawdziwą rozkoszą ujście swemu oburzeniu.

— Wolałabym, przysięgam na to — zawołała, przesiedzieć całe sześć tygodni u czubków, jak przebyć tu z niemi ten wieczór. Powiedz Richards czyś też kiedy widziała dwa podobne cudaki?

— I jeszcze śmiały powiedzieć, że się coś tylko przyśniło temu dziecku, rzekła Polly, wzruszając ramionami.

— Moje śliczne panie, zawołała Zuzia kłaniając się nisko w stronę drzwi któremi wyszły dwie przyjaciołki, niech was Bóg co najdaléj od nas odprowadza, powiadacie że Florcia nie będzie nigdy prawdziwą Dombeyówną, tem ci lepiéj dla niéj — oby się wasze słowa sprawdziły — mamy już podostatkiem waszych Dombeyów, mamy co prawda, aż nadto jednego.

— Ciszéj, ciszéj Zuziu, obudzisz dzieci, szepnęła Richards.

— Dziękuję uniżenie za nauczkę, odparła szorstko czarnooka pokojówka, któréj usposobienie wielce było w téj chwili burzliwem; niemały to dla mnie zaszczyt odbierać napomnienia od pani Richards, któréj jak uważam, jestem służącą. Czy nie ma pani czego jeszcze do rozkazania?

— Do rozkazania? co też tobie w głowie, moja Zuziu!

— A czemużby nie? nic nie mam przeciw temu. Wszakże wiem dobrze że w tym domu, kto jest tylko do czasu, ma prawo pomiatać osobami mającemi stały obowiązek. To już taki porządek. Z tem wszystkiem, chciéj pani wiedzieć, że w każdym razie nie łatwo zjesz mię w kaszy i że nawet możesz się tą kaszą szkaradnie zadławić.

— No, no uspokój się Zuziu, rzekła wesoło Polly, wiem ja dobrze, żeś ty lepsza od twego języka. Oto po prostu, kochasz Florcię i żal ci jéj krzywdy, a że niemasz na kogo się złościć, więc się wszystko na mnie skrupiło.

(d. c. n.)

WSPOMNIENIA
Z PODRÓŻY PO WŁOSZECH

PRZEZ

Aleksandra Dumasa (ojca)

(Dalszy ciąg.)

XI.

Gettatura czyli urocze oczy.

W całéj naturze, od początku świata, biją się z sobą dwie siły. Jedna tworzy, druga niszczy; jedna dobra, druga zła. I Neapol ma swojego opiekuńczego ducha i swojego złego ducha. Jego opiekunem jest Św. January, jego złym duchem jest gettatura. Gdyby w niebie nie było Św. Januarego to oddawna gettatura zniszczyłaby była Neapol. Gdyby nie było na ziemi gettatury, już oddawna Św. January zrobiłby z Neapolu, królowę całego świata.

Gettatura nie jest wczorajszym wynalazkiem, nie jest zabobonem średniowiecznym, ani wymysłem bizantyjskim, jest to plaga, która ze starożytnego świata przeszła do nowożytnego, od pogan do chrześcian. Grecy i Rzymianie znali gettaturę, i nazywali ją fuscinum.

Starożytni, dla zniszczenia złego wpływu gettatury, wymyślili różne świecidełka z drogich kamieni, odszukano 'ich mnóstwa w Herkulanum i Pompei. Nowożytni, to jest Włosi, wymyślili lekarstwo od uroczych oczów: rogi. W każdym zamożniejszym domu zobaczycie w przedpokoju parę rogów: im są dłuższe tem skuteczniejsze. Zwykle dostarcza ich Sycylja; tam są najpiękniejsze. Widziałem takie co miały trzy stopy długości a kosztowały pięcset franków.

Chciałbym wam wytłomaczyć dla czego rogi nabrały w Neapolu tak wielkiego znaczenia, ale wszystkie moje poszukiwania były naprózne. Nie znalazłem najmniejszych danych do utworzenia w tym względzie jakiego systematu. Jest tak bo jest, i nie nalegajcie na mnie o nic więcéj, bobym musiał wymówić owe wyrazy, które tyle kosztują każdego człowieka: *Nie wiem*!

Starożytni znali trzy rodzaje czarów: dotknięciem, mową i spojrzeniem, jak to czytamy w Owidiuszu, Wirgiliuszu i Katullu.

Święty Paweł pisze do Galatów: — kto was zaczarował, że nie chcecie słuchać prawdy? a zatem wierzył w gettaturę.

Przejdźmy do średnich wieków; otwórzmy Erchemperta, mnicha z Monto-Cassino żyjącego około r. 842.

„Znałem, pisze ten zacny zakonnik, Landolfa, biskupa Kapuy, człowieka dziwnéj roztropności, który mawiał: „ile razy spotkałem mnicha tyle razy w tym dniu spotkało mię coś złego.“

Wiara ta utrzymuje się dotąd w całéj sile w Neapolu. Kiedym odpływał do Sycylji, spotkaliśmy mnicha. Kapitan statku prosił, żebyśmy się zatrzymali do jutra; nie usłuchaliśmy i przez 24 godzin byliśmy między życiem a śmiercią, tak straszna napadła nas burza.

Z owych trzech rodzajów czarów, dwa zginęły w drodze pozostał tylko jeden — urocze oczy — ale najgorszy. Nic nie ma gorszego nad oko — mówi Ekleziastes, XXI.

Jak wężowi grzechotnikowi kazał Bóg, żeby sam ostrzegał ludzi o sobie, tak samo napiętnował czoło gettatora różnemi znakami, po których go łatwo poznać. Gettator jest zwykle chudy i blady, ma nos orli zakrzywiony, oczy podobne do oczów ropuchy, które zwykle zakrywa okularami. Ropucha jak wiadomo ma urocze oczy — samem spojrzeniem zabija słowika.

Jeżeli spotkacie na ulicy Neapolu takiego człowieka, strzeżcie się.

Można się założyć o sto przeciw jednemu, że to gettator. Jeżeli to gettator, a spojrzał pierwszy na was, złe się już stało, nie ma na to lekarstwa, schylcie głowę i czekajcie. Jeżeli zaś wy uprzedziliście go spojrzeniem, to wyciągnijcie ku niemu środkowy palec a inne ściśnijcie, nic wam już nie zrobi.

Oprócz owych rogów w domu, których oczywiście nie można nosić z sobą, wszyscy tu mają rożki, które noszą na szyi, na palcu, przy łańcuszku od zegarków. Takie rożki można kupić w każdym sklepie galanteryjnym. Zwykle są z koralów lub z agatu. A zatem jeżeli macie przy sobie taki rożek, to wszystkie inne ostrożności są zupełnie niepotrzebne. Talizman jest nieomylny przynajmniéj tak utrzymują handlarze rogami.

Gettatura jest chorobą niewyleczoną. Przychodzi się na świat gettatorem i umiera się gettatorem. Zwyczajnie gettator nie wie o swojéj zgubnéj sile. Ponieważ jest to bardzo niegrzecznie powiedzieć komu, że jest gettatorem, ponieważ wielu bardzo się gniewa o to, to się go unika jak może, a jak nie można, to się trzyma ciągle rękę w pozycji wyżéj opisanéj.

Ile razy spotkacie na ulicy w Neapolu dwóch ludzi rozmawiających z sobą, z których jeden trzyma rękę w tyle z wyciągniętym średnim palcem, to bądźcie pewni że drugi jest gettatorem, a przynajmniéj uchodzi za takiego.

Kiedy jaki cudzoziemiec przybędzie do Neapolu, to naprzód śmieje się z gettatury. Nie długo potem zaczyna się nią na serio interesować, a kiedy posiedzi tu trzy miesiące to już obłożony jest od stóp do głów wszelkiego rodzaju rogami, a rękę ma ciągle zaciśniętą, wyjąwszy średni palec.

Nic nie może ochronić od gettatury, tylko owe dwa środki. Ani stopień, ani bogactwo, ani urodzenie nie może nikogo zasłonić od tego wpływu uroczych oczów. Wszyscy ludzie są równi wobec gettatury.

Gettatorem może być każdy człowiek, w każdym wieku, w każdym stanie, każdéj płci, może być starzec lub dziecko, adwokat lub doktór, sędzia lub ksiądz, slachcic lub rzemieślnik, wielki pan lub lazzaron. Idzie tylko o to który wiek, który stan, która płeć wywiera zgubniejsze czary.

Jest o tym przedmiocie wyczerpujące dzieło szlachcica Signora Necola Valetta, w którem rozstrzyga ostatecznie wszystkie kwestje o czarach, jakie zajmowały od 25 wieków starożytnych i nowożytnych mędrców.

Oto wybitne punkta:

1. Kto rzuca straszniejsze czary: kobieta czy mężczyzna?

2. Kogo się trzeba więcéj bać: tego co nosi perukę, czy tego, który jéj nie nosi?

3. Kto jest niebezpieczniejszy, czy ten co nosi perukę, czy ten co nosi okulary?

4. Kogo się trzeba bać bardziéj, czy tego co nosi okulary, czy tego co zażywa tabakę? Czy peruka, okulary i tabaka połączone razem w jednym człowieku potrajają siłę gettatury?

5. Czy czary kobiety gorsze są od czarów panny?

6. Czy mnichy są większe gettatury, niż inni ludzie i które mianowicie zakony?

7. Na jaką odległość działa gettatura?

8. Czy może działać z boku lub z tyłu?

9. Czy można poznać gettatora po ruchach, po głosie, po oczach lub po innych znakach?

10. Czy można się modlitwą ochronić od gettatury?

11. Nakoniec, które odczynniki są mocniejsze starożytne czy nowożytne; jakie rogi są silniejsze pojedyncze czy z kilku odnogami?

Na potwierdzenie naszego sprawozdania o gettaturze, opowiemy historję Księcia L.. która w Neapolu ma powagę historyczną.

XII.

Książe L.

Urodził się ze wszystkiemi cechami gettatora, wyjąwszy peruki, okularów i tabaki. Miał wargi małe, oczy duże, prawie nieruchome, nos orli; matka jego umarła wydając go na świat. Pierwsze nieszczęście! Wyszukano mu zdrową i ładną wieśniaczkę. Ale jak tylko niefortunny dzieciak dotknął się jéj piersi, mleko zwarzyło się natychmiast. Drugie nieszczęście! Będzie tego więcéj.

Książę ojciec, będący wtedy ambassadorem w Toskanji, dowiedziawszy się o śmierci żony i urodzeniu się syna pospieszył do Neapolu. Opłakawszy żonę i uściskawszy syna udał się do króla. Król przyjął go zimno za to, że opuścił swoje miejsce bez pozwolenia i usunął go z poselstwa.

Ta katastrofa zniechęciła księcia do syna, a że miał już starszego następcę, to nowonarodzonego przeznaczył na księdza. Tymczasem chłopak rósł sobie zdrowo, że aż miło! Kiedy wszedł do seminarium wszystkie dzieci dostały kokluszu. Uczył się dobrze i brał ciągle pierwsze nagrody. Raz tylko jeden przyznano mu drugą nagrodę. Kolega jego, który otrzymał pierwszą, idąc po nią, potknął się na stopniach estrady i złamał nogę.

Chłopiec był już młodzieńcem. Wkrótce miał otrzymać święcenie; kiedy właśnie Francuzi ogłosili Rzeczpospolitę Portepopejską i nowe prawa między któremi wyraźnie stało, że prawo starszeństwa znosi się, a majątek dzieli się równo między wszystkie dzieci.

Seminarzysta rzucił w kąt sutannę i trójgraniasty kapelusz, wezwał do siebie najlepszego krawca w Neapolu, i kazał sobie zrobić najmodniejsze ubranie, kupił ładne konie i pyszny powóz i kazał sobie zaambonować lożę w teatrze Św. Karola. Tego samego wieczoru, kiedy książątko było w teatrze, na szczęście już po widowisku, zgorzał do szczętu głośny i piękny teatr Św. Karola.

Od tego czasu zaczęto sobie o nim rozpowiadać niepokojące wieści i już pomału zaczęto go unikać. Nie wszyscy jednak wierzyli temu. Między owymi sceptykami była kobieta młoda i ładna, hrabina M. Nie zważając na gadaniny ludzkie, postanowiła wydać świetny wieczór i zaprosiła także księcia L. Goście tłumnie się zebrali, pędzeni ciekawością, O godzinie 10 przybył książę. Był to młodzieniec przystojny, miły, uprzejmy i dowcipny, byłby miał w świecie ogromne powodzenie, gdyby nie ta nieszczęśliwa gettatura. Bal dany był w przepysznych ogrodach księżny, oświetlonych różnokolorowemi latarniami. Muzyka grała w altanach.

Przybycie księcia naznaczyło się zaraz przy wejściu małym wypadkiem: lokaj roznoszący lody w przepysznéj japońskiéjv porcelanie, upuścił tacę i potłukł ją na drobne kawałki. Niektórzy widzieli to i zaczęli się lękać czegoś gorszego. Hrabina M.

ujrzawszy księcia podeszła ku niemu i po przywitaniu podała mu rękę. Grzeczny kawaler odwdzięczając się za tę uprzejmość, zaczął wychwalać urządzenie balu. Zaledwie skończył komplement, zerwał się wiatr, pokazała się chmurka na niebie, lunął deszcz jak z cebra, wszyscy pouciekali gdzie mogli. W téj porze, jak w Egypcie, nie ma nigdy deszczu w Neapolu. Przez Czerwiec, Lipiec i Sierpień ciągła susza jak w Lybji. Hrabina M. i książe S. zdołali schronić się do pałacu.

Kiedy się umysły troszkę uspokoiły i porządek przywrócony został, tańczono wesoło w salonie. Właśnie stanęły pary do nowego kondredansa, książe zbliżywszy się przypadkiem do hrabiny, rozmawiał z nią spokojnie, kiedy nagle uciął rozmowę i wpatrzył się z podziwieniem w ogromne angielskie lustro.

— Co ci to książę? zapytała się hrabina.

— Ah pani! co za przepyszne lustro!

Nagle ogniwo na którem wisiało lustro, pękło, droga tafla padła na ziemię i potłukła się na drobne kawałki. Hrabina zaczęła już żałować, że się jéj zachciało kusić przeznaczenie, ale bojąc się żeby jéj nie wyśmiano, jeszcze więcéj była uprzejmą dla księcia.

Po tańcach był koncert, wokalny i instrumentalny. Książe nie lubił muzyki i chodził po dalszych pokojach. Ktoś mu powiedział, że na końcu da się słyszeć sławna śpiewaczka Hermina. Książę wrócił do salonu, Hermina stała już przy fortepianie, w salonie było zupełnie cicho, śpiewaczka otworzyła usta. Za pierwszem odezwaniem się sfałszowała o pół tonu, a w czwartym takcie zupełnie się pomyliła. Wszyscy zdziwieni takiem fiasko, pocieszali nieszczęśliwą i zawstydzoną. Ratując się, głośno oświadczyła, że ktoś czary na nią rzucił, i rozżalona opuściła zaraz pałac hrabiny.

Hrabina M. była jak na rozżarzonych węglach, ale prawie ciągle chodziła pod rękę z młodym gettatorem, dla przyzwoitości. Chcąc się wreszcie od niego uwolnić, poprosiła go żeby ją zaprowadził do ślicznego buduaru, bo musi sobie odpocząć. Buduar był też przy salonie i można było z niego wszystko widzieć i naodwrót. Książę, jako grzeczny kawaler przysunął hrabinie fotel bliżéj drzwi, ale zaledwie usiadła na nim, tylne nogi złamały się i hrabina upadła na ziemię. Książę chciał ją podnieść — odepchnęła jego rękę i zerwawszy się na nogi uciekła do swego sypialnego pokoju, i już się cały wieczór nie pokazała. Ponieważ bal tym sposobem przerwał się, goście rozjechali się. Ostatnim był książę, który ani się domyślał ile złego narobił. Nikt już nie wątpił ze to gettator i to w najgorszym gatunku.

W tym samym czasie powrócił do Neapolu z długiéj podróży starszy brat księcia, Herkules. Nie znali się wcale dotąd a mimo to, że młodszy zabrał starszemu połowę majątku polubili się bardzo. Oczywiście, Herkules bywając w świecie nie mógł tu i owdzie zasłyszeć coś z tego, co o jego bracie mówiono. Pewnego razu, w licznem towarzystwie jakiś młody człowiek nie znający Herkulesa, głośno opowiadał o jego bracie, że jest gettatorem. Herkules uniósł się i rzucił w twarz rękawiczkę opowiadającemu. Nastąpił pojedynek na szpady. Młody człowiek nie umiał nawet trzymać szpady w ręku, a Herkules bił się jak najbieglejszy fechmistrz. Za pierwszem złożeniem się Herkules został na wylot przeszyty szpadą i umarł na miejscu. Książe L. był w rozpaczy, ale stał się to dwa razy bogatszym. Stary ojciec, który nad życie kochał swojego syna starszego, dowiedziawszy się o jego śmierci umarł nagle tknięty apopleksją. Książątko gettator, mając 23 lat ujrzał się naczelnikiem rodziny i posiadaczem ośmiomiljonowéj fortuny.

Przygnieciony takiem nieszczęściem, żeby się choć cokolwiek rozerwać, postanowił podróżować. Przez pięć lat nie było o nim ani słychu. Tyle tylko było wiadomem, że okręt francuzki, na którym płynął został napadnięty przez okręt angielski, bitwa była krwawa, połowa osady wyginęła, trzeba się było poddać. Kapitan nie chcąc przeżyć swéj hańby, odebrał sobie życie. Rannych przeniesiono na angielską fregatę i księcia L, także zupełnie zdrowego. Zaledwie stanął nogą na fregacie zerwała się szalona burza, fregata z połamanemi masztami zaledwie ocalała dostawszy się do portu.

Owóż nic więcéj nie wiedziano o niebezpiecznym czarowniku. Jego bankier posyłał mu regularnie znaczne summy do Francji, do Anglii, do Niemiec a nawet do Petersburga.

Po pięciu latach powrócił do Neapolu z młodą żoną czerwonowłosą Angielką i dwoma ślicznemi dzieciakami, synem i córką.

Słówko tylko powiemy o synu. Był to żywy portret ojca. Wszyscy w Neapolu byli pewni, że gettatura będzie dziedziczną w linii męzkiéj. Życie córki było bardzo nieszczęśliwe i podobno najwięcéj zajmujące w całéj tej historji.

Była to śliczna panienka, dziwnie ładnie pomięszały się w niéj dwa typy włoski i angielski. Miała bujne i długie włosy czarne, oczy jasno niebieskie, płeć białą i matową, zęby małe i świecące się jak perły, wargi czerwone jak wiśnie, W piętnastym roku życia była cudem piękności w Neapolu. Dodajemy zaraz, że książę L. oprócz okularów, zażywał już tabakę, ztąd jego gettatura stała się dwa razy zgubniejszą.

Pomiędzy licznemi wielbicielami, którzy się uwijali obok pięknéj Heleny — odznaczał się hrabia T. drugi syn najbogatszego i najarystokratyczniejszego neapolitańskiego magnata. Była to stosowna partja dla naszéj bohaterki, bo przynosiła coś nakształt 150,000 fr. rocznego dochodu, wielkie imię, dwadzieścia cztery lat życia i pięknego męża.

Dziwna rzecz! ta piękność starającego się, była najgłówniejszą przeszkodą do małżeństwa... nie ze strony panny, chwała Bogu! ale tylu kobietom zawróciła głowy, tyle narobiła skandalów, że ile razy wspomniano księciu L. o hrabi F., tyle razy wściekał się od gniewu.

Na nieszczęście! trafiało się to, co się zwykle trafia; Helena zakochała się w młodym człowieku. Czy to przez sympatję, czy przez ducha przeciwieństwa? Nie wiem! czy dla tego że go sobie wyobrażała bardzo dobrym, czy dla tego że jéj nagadano wiele złego o nim? Nie wiem! dość że go pokochała nie ową przelotną, kapryśną miłością, którą lada przeszkoda gasi, ale miłością głęboką, gorącą, wieczną, która rośnie w miarę przeszkód, i jak miłość Julji i Romea, kończy się albo przy ołtarzu, albo w grobie.

Chociaż książę L. kochał bardzo córkę, ale ani słyszeć nie chciał o małżeństwie. W dodatku opowiadał jéj jaką nową przygodę miłosną hrabiego, w rodzaju Foblasa i Richeuljego. Wyobraźcie sobie jego zdziwienie, kiedy to opowiadanie zamiast osłabić, jeszcze bardziéj powiększyło miłość Heleny: tak dalece, że policzki jéj zbladły, oczy zagasły, a wargi różowe już nigdy się nie uśmiechały. Ogarnęła ją czarna melancholja, a wnet niszcząca choroba zdeklarowała się.

Książę przerażony tą zmianą córki, przywołał do niej najsławniejszego doktora, który po zbadaniu stanu choréj oświadczył, że młoda dziewica cierpi więcej moralnie niż fizycznie, ale ostrzegł zarazem księcia, że cierpienie to moralne, jeżeli prędko nie ustanie, może zabić jego córkę. Ojciec wiedział że doktór zgadł, ale mu niedowierzał. Przez trzy miesiące stał jeszcze niezachwianie przy swojem, ale kiedy go doktór zawiadomił, że już nie odpowiada za chorą, książę błagając o przebaczenie Boga—za to, że oddaje swoją córkę takiemu człowiekowi, oświadczył Helenie, że się zgadza na jéj małżeństwo.

Biedna dziewczyna, chociaż chora, aż podskoczyła z radości, lica się jéj zarumieniły, oczy zabłysły, a usta uśmiechały się rozkosznie. Ucałowała ojca i posłała po hrabiego F. Hrabia przybiegł, nie wierząc swojemu szczęściu. Kochankowie zalali się łzami, a ojciec mrucząc wyszedł z pokoju, bo się i jemu na łzy zbierało.

Za trzy tygodnie miał się odbyć ślub; w tym przeciągu czasu, książę dostawał mnóstwo listów bezimiennych, pełnych skarg na przyszłego zięcia. Byłby z całego serca odepchnął od córki hrabiego, ale dał słowo; nie mógł więc wysłuchać żalów, kilkudziesięciu opuszczonych kobiet. Wszystko więc pozostało *in statu quo*. Nadszedł wreszcie wielki ów dzień ślubu, gości było huk, a wszyscy zgadzali się na to, że w całem królestwie obojga Sycilji, nie było tak pięknéj pary. Przed pójściem do kościoła rozczulony ojciec, zapomniał o swéj niechęci do zięcia, i podług przyjętego zwyczaju, podniósłszy najprzód ręce do nieba, a potem położywszy je na głowach nowożeńców, pobłogosławił uroczyście młodą parę.

Nazajutrz rodzice państwa młodych, wyjechali do swojéj willi, gdzie mieli na zawsze zamieszkać. W tydzień potem, właśnie kiedy jedli śniadanie, usłyszeli zajeżdżający powóz; z powozu wysiadła hrabina, wbiegła mocno wzruszona do pokoju rodziców, rzuciła się matce na szyję i powiedziała im, że nie może żyć z takim mężem, który jéj nie cierpi i nigdy jéj szczerze nie kochał.

— Wszakże ci nieraz mówiłem, że ten człowiek przyniesie ci nieszczęście!

— Czemuż ci nie uwierzyłam, mój ojcze!

— Uspokój się moje dziecię — rzekła matka — może się to da załagodzić.

— O moja matko, zdaje mi się, że nie ma już na to sposobu.

Rzeczywiście, błogosławieństwo ojca zrobiło swój skutek. Młody małżonek uczuł nagle wstręt do żony, którą tak kochał kiedy była panną. Nie było podobna pogodzić ich. Po upływie trzech lat wszyscy z zadziwieniem się dowiedzieli, że hrabina F. pozwała swego męża o rozwód do konsystorza rzymskiego. Łamano sobie głowy nad docieczeniem przyczyn tak prędkiego rozłączenia się, ale nikt nie domyślał się, że to sprawiło błogosławieństwo ojcowskie. Wszyscy mężowie żałowali młodéj hrabiny a wszystkie żony trzymały stronę hrabiego. Wiele z tego powodu było nieporozumień w wysokich kółkach małżeńskich, aż wreszcie żony oświadczyły mężom wyraźnie, że są niezdarzy, a hrabia F. jest miły i ujmujący mężczyzna. Ale ponieważ w konsystorzu rzymskim, nie zasiadały kobiety, więc rozwód wyrzeczono i pozwolono młodym rozłączonym wejść w inne związki.

(d. c. n.)

Dalszy ciąg opisu N. 43.

N. 29. Szlak na meble, do portiery i t. p.

Robota ściegiem krzyżowym.

Szlak ten dwoma cieniami odrobiony, przegradzany być może szerokiemi pasami pluszu, repsu, lub sukna w tymże samym kolorze albo też zrobiony w dwóch cieniach zielonych, fijołkowych, lub popielatych, użyty być może przy materyi brązowéj lub stalowego koloru.

N. 30 — 31 i 20. Talma. Podając niedawno formę okrycia długiego od deszczu, oznaczyliśmy zarazem formę krótkiéj talmy i wskazali miarę jéj objętości i długości. Dziś podajemy wzór tejże talmy odrysowanéj z przodu i z tyłu, przystrojonéj obłożeniem albo szlakiem wyszywanym i frendzlą.

Chcąc ażeby talma leżała dobrze i układała się zręcznie, potrzeba ją robić z miękkich tkanin wełnianych, jak kaszmir „velours" lub t. p. Garnirunek, może stanowić obłożenie z rypsu lub aksamitu jak przy rycinie 30, albo szlak haftowany jednym kolorem, jak przy rycinie 31, lub nakoniec szlak odrobiony kolorami jasnemi, w guście tureckim. Widoczna z tyłu na rycinie 31 fałda, wymaga ażeby w kroju dodać do każdéj połowy 15 cen. szerokości. Dwie części pleców złączone są tylko od wykroju szyi na 15 cen: a to przez dodanie od spodu paska 4 cen. szerokiego. Haft albo obłożenie daje się na każdéj połowie dokoła, tylko przy plecach z powodu odwinięcia, wyszywa się z lewéj strony. Riusza z materyi 1 i pół cen. szeroka dana jest przy wykroju szyi; sznury jedwabne i kwasty, naszyte są na złączeniu fałdów z tyłu. Frendzla zupełnie czarna lub białym jedwabiem przewiązywana, przyszyta jest u dołu.

Na rycinie 31, podany jest duży, okrągły słomkowy kapelusz, pokryty brązową krepą, przybrany takiemiż riuszami wygięty i przewiązany aksamitką w ten sposób, iż na wsi do spaceru w czasie słońca, parasolik staje się niepotrzebny.

N. 32. Kostium z falbanami w dwóch kolorach do cieniu. Na pierwszéj nie dotykającéj ziemi spódnicy, dodana jest zwierzchnia suknia, czyli tak zwane Vêtement z przodu zapięte na guziki.

Strojny garnirunek stanowią skośne falbany 6—10 cen. szerokie, tego co suknia koloru, zakończone u góry nagłówkiem w zęby wyciętym, u dołu oszyte riuszą z obydwóch brzegów w ząbki wyciętą, 3 — 4 cen: szeroką, z materyi ciemniejszego koloru.

Sute szarfy z ciemniejszéj materyi, przypięte są z tyłu do paska.

N. 33. Kostium z plisowanym wolantem i aksamitnem naszyciem. Suknia wełniana koloru jasno brązowe-[illegible], przystrojona jest ciemno [illegible]ązowym akamitem. Wolant [illegible]isowany 30 cen. szeroki, prze[illegible]bnowany na 8 cen: od dołu. Nad wolantem naszyta sko[illegible]a aksamitna plisa i patki 4 cen. szerokie, w odstępach 6 [illegible]t.: patki te oszyte są w za[illegible]ty, sznurkiem jedwabnym [illegible]ązowym. Wysokość przednich [illegible]wyższych patek dochodzi 44 [illegible]t., następne zniżają się sto[illegible]iowo, tak iż z tyłu mają tyl[illegible] 12 centymetrów. Zwierzch[illegible] z przodu otwarta podpinana [illegible]ka, ma przody łącznie ze [illegible]ikiem krajane, tylne zaś [illegible]y proste, 80 cent. szerokie, [illegible]owane w górze i do pleców przy[illegible]e. Karoczek 112 cent. szeroki, w środku 20 cent. w końcach 16 cent. długi, ułożony jest w 6 kontrafałd i paska przyszyty. Na wązkich rękawach przyste[illegible]wane są klapki 14 cent. szerokie, 32 cent. długie, [illegible]rane skośną aksamitną plisą i patkami 8 cent. długiemi, 2 cent. szerokiemi. Tak plisa przy zwierzchniéj sukni jak karoczek, pasek i ubranie na rękawach wyszyte są także sznureczkiem. Frendzla 7 cent. szeroka, jest w połowie skręcona ze szneli ciemno brązowéj, daléj zakończona kwaścikami z jasno brązowéj włóczki.

Opis N. 44.

N. 1. Ubranie małego chłopczyka.

W miejsce tak powszechnie znanéj kurtki albo gładkiéj bluzki, dodana jest do gładkiego stanika podwójnie fałdowana spódniczka; krótkie szerokie majtki zakończone są także plisowaną falbanką. Ubranie takie powinno być z sukienka albo aksamitu w dwóch cieniach jednego koloru. Krótki karoczek, kurtka i majtki są ciemniejsze, a spódniczka, plisowanie u majtek i kamasze jaśniejsze.

Marynarski kołnierzyk i gładkie mankietki płócienne są oszyte stębnowaną pliską.

N 2. Ubranie druchny albo strojna wieczorowa toaleta. Na gładkiéj nieco powłóczystéj jedwabnéj sukni z wyciętym stanikiem, dodana jest tiunika i zwierzchni stanik, z jedwabnéj gazy tego co suknia koloru, oszyte riuszą z materji w ząbki wyciętéj, lub siepaną frendzelką zakończonéj i białą blondyną. Wycięty stanik przystrojony jest bertą plisowaną z jedwabnego tiulu, garnirowaną blondyną i riuszą.

N. 3. Ślubne Ubranie.

Krój i opis w dodatku.

N. 4. Rozeta szydełkowa jako aplikacja do firanek lub jako pasmanterja. Powyższa rozeta użyta jako aplikacja na firankach rycina 5, może zastąpić pasmanterję, gdy odrobiona będzie z czarnego jedwabiu.



N. 1. Ubranie dla chłopczyka. N. 2. Ubranie druchny lub balowe. N. 3. Ubranie panny młodéj krój stanika N. 1. Fig. 1 — 4 a.

Rozumie się samo przez się, że wielkość jéj zmniejszy się lub powiększy, stosunkowo do cienkości bawełny kłębuszkowéj lub jedwabiu.

Robotę zaczyna się od zewnętrznego rzędu złożonego z 6ciu oddzielnych figur. W tych pierwszy rząd stanowi ółko z 12 o. łań; obrobione 31 o. ści. bardzo luźno. Rząd drugi zaczyna się 5 o. luź. przyrobionemi w 4 te o: ści. poprzedzającego rzędu; daléj 11 ząbków z 3 l. o. przyrabianych o. ś. co 2-gie oko poprze. rzędu. Przyczem przez wyciąganie oczek robionych bardzo luźno, tworzy się 12 pikotów; na zakończenie 5 o. l., przyrobionych w oczko ostatnie, i 12 o. l. stanowiących spuszczoną pentelkę. Poczem zakończyć nitkę z lewéj strony i uciąć. Połączenie pojedynczych figur, następuje przy obrabianiu ich oczami ścisłemi, których daje się 5 na każdym ząbku z 3 o. luźnych. Środek rozety zaczyna się od rzędu zewnętrznego, dając 3 o. ści. w spuszczoną pentelkę każdéj figury, przedzielane 3 o. l; a potem daléj wkoło na wewnętrz dwa stopniowanéj wielkości obrobienia z 26 i 15 ścisłych oczek, ażeby wśrodku pozostał jeszcze obszerny okrągły otwór.

Poczem przeciąga się nitkę z lewéj strony na prawą i robi. * 1 ść. o, łań. w brzeżne oko przy odrobionéj pentelce, 3 o. l, 1 o. ści. łań. z drugiéj strony pentelki, 1 o. l, 1 pikot z 4 o. l., złączony oczkiem ścisłym 1 o. l., powtarzać wkoło od *. Obrobienie ścisłe pokryte jest 3 rzędami w których robi się naprzemian 1 o: ścisłe zajęte w pentelkę, znajdującą się między dwoma rzędami poprzedzającemi i 3 o. luźnemi.

Na zakończenie obrabia się koło ostatniego rzędu ścisłego 12 o. ścisłych i dodaje suty kwast z lewéj strony przymocowany a na prawą wydobyty.

N. 8. Ucho do przytrzymywania firanek,

z plecionki w ząbki i roboty szydełkowéj.

Ucho czyli pas do przytrzymywania firanek, ma 36 cen. długości 8 cen. środkowej, a 4 centy: szerokości z brzegów.

Stopniowe zmniejszanie figur od środka ku końcom, łatwo podług ryciny 8 wykonać. Kratki powinny być z bawełny szydełkowéj średniéj cienkości, a ząbki u brzegu z grubszéj. W końcach dodaje się pentelki do przytrzymywania, ściscłemi oczkami obrobione.

N. 9. Kokarda do kołnierzyka. Opis i krój w dodatku.

N. 10. Muślinowa kokarda do kołnierzyka z rozciętemi końcami. Kawałek muślinu 23 centy. długi, w jednym końcu 10, w drugim 8, a w środku 6 cen. szeroki, przecina się w szerszym końcu wzdłuż na 15. centymetrów. Potem brzegi oszywa się nadmarszczoną koronką 3 cen. szeroką i przyozdabia wązkim haftowanym szłaczkiem, pamiętając w szyciu że neirozcięty węższy koniec, jest na 5 cen. długo. na wierzch odwinięty.

Koniec ten zakłada się w kontrafałdę, przyozdabia aplikacją haftowanego liścia i podpina kokardą z kolorowéj wstążki.

N. 11 i 12. Kostiumy jesienne opisane w dodatku z krojami.

N. 13 i 14. Desenie do wycięcia kanwy papierowéj na pudełko.

rycina 33 i 34 w N. 45 Ty. Mód.

N. 15. Opis w dodatku.

N. 18. Koronka z wązkéj plecioneczki i kratek.

Garnirunek do rękawów.

N. 20 i 21 opisy w dodatku.

N. 22. Szlak haftowany na czarnéj grenadinie.

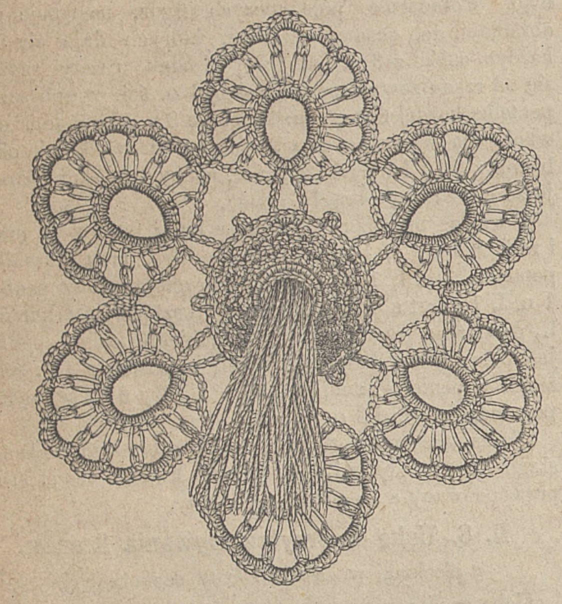
Dzierganie na dwie strony.

N. 23 i 24. opisy w dodatku.

N. 25 — 26. Dwa strojne czepki. Podstawę obydwóch czepków stanowi czółko, ze sztywnego czarnego tiulu, 48 cen. długie, w końcach 3 cen. szerokie, a w środku nad czołem w ząb 5 cent: przykrojone. W tył od czółka dana z tegoż tiulu mała krzyżówka, mająca 21. cen. długości z boków prostych, a 36 cen. w brzegu

skośnym, której brzegi proste w trzy fałdki założone przyszywa się do czółka. a strona skośna w tył spuszcza. Na takiem podłożeniu układa się okrągłe denko z białego jedwabnego tiulu, z tyłu na elastykę nawleczone.

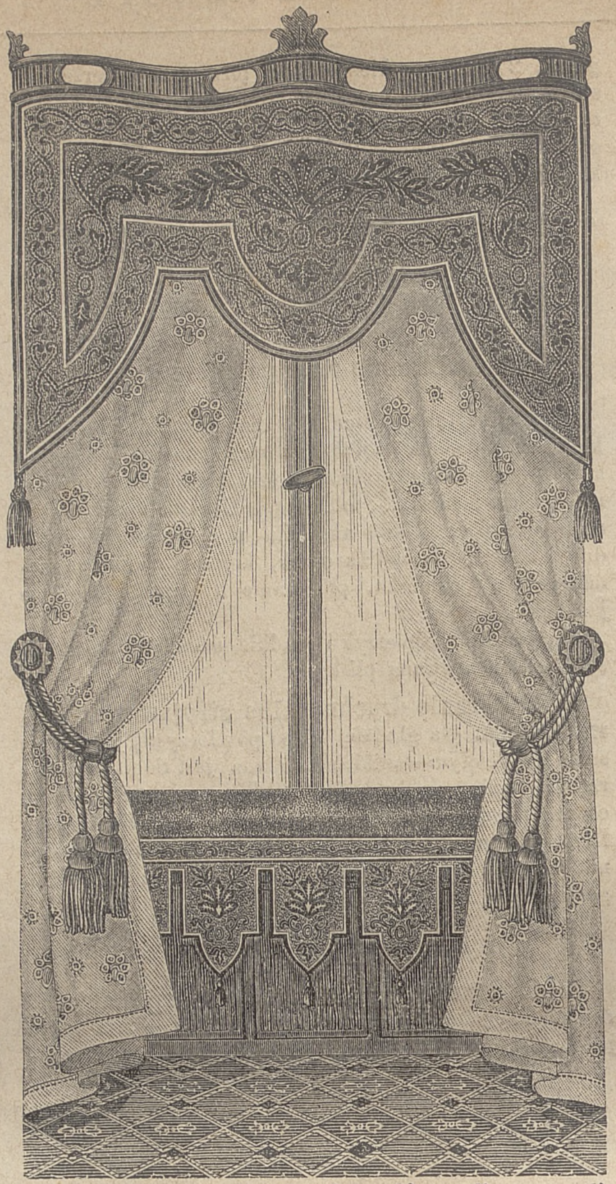
N. 25. Czepek ubrany szeroką wstążką. Na czółku naszywa się w sposób wachlarza, fałdowany tiul iluzjowy, 4 cen. szeroki; wkoło tego garnirunku idzie koronka czarna, 3 cen. szeroka.



N. 4. Szydełkowa rozeta jako aplikacja na firankach do ryciny 5.

Po niżéj czółka, na czarnym tiulowym trójkącie, naszywa się wkoło w sposób na rysunku wskazany, biała nadmarszczona blondyna, 6 cen. szeroka. Z przodu powinna ona cokolwiek czarną koronkę przysłaniać, z tyłu spadać na denko.

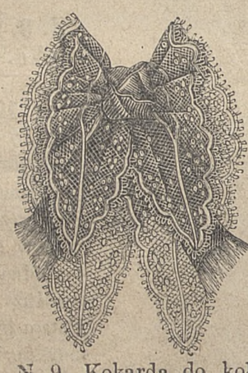
Z pod téj blondyny wychodzą szarfy z kolorowéj wstążki 6 cen. sze., służące do wiązania czepka; na środku między blondyną przypięte 4 końce z téjże wstążki, 7 cen. długie a 2 i pół cent. wystrzępione, w odwrotnym kierunku ułożone i fałdowaną koronką czarną, środkiem przeszyte. Z pod blondyny na denko spadają dwa pukle ze wstążki 3 cent. szerokiéj i dwa długie końce; z boku przy twarzy kokarda z węższéj wstążki przegarnirowana czarną koronką.



N. 5. Lambrekiny do okna i firanki muślinowe z aplikacją szydełkową. Deseń lambrekiny na dodatku z krojami N. 2 — 3.



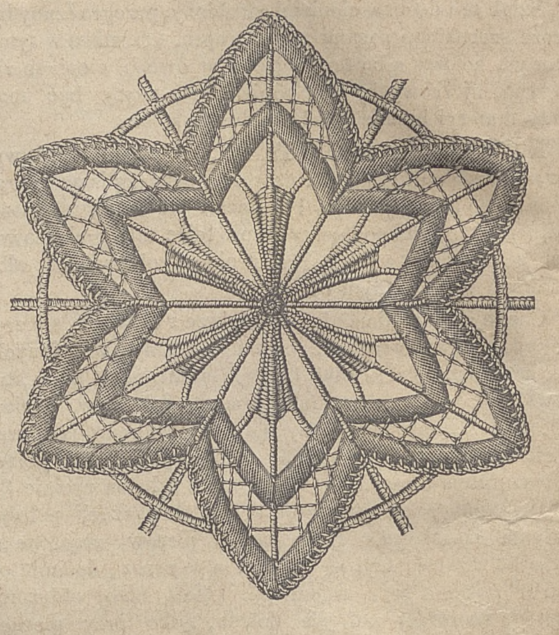
N. 8. Uszy do firanek. Ząbki z tasiemeeczki i robota szydełkowa.



N. 9. Kokarda do kołnierzyka ze zmarszczonemi podwójnemi końcami. Krój N. IX Fig. 21 i 21a.

N. 26. Czepek z rozetami z wąziutkiéj wstążeczki. Przy tym czepku w garnirunku około twarzy dane są pojedyncze przepięcia i rozeta z wązkiéj wstążeczki: druga rozeta przypięta na zakończeniu buf iluzjowych, wązką wstążeczką przedzielanych.

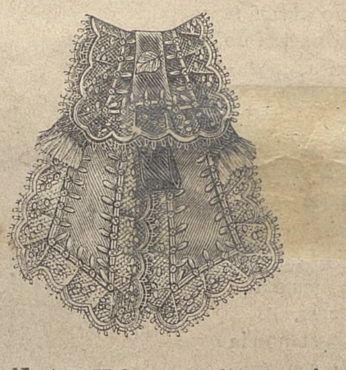
N. 27 — 28. Szkatułeczka do łyżeczek srebrnych. Na nóżkach urządzona szkatułeczka, odrabia się z cienkich deszczułek cedrowego drzewa, w środku prze-



N. 7. Rozeta układana z szaréj tasiemki, do torebki ryc. 25 w N. 45 Tyg. Mód.

dziela na dwoje, a na przykryciu dodaje się ucho z juchtowéj skóry do podnoszenia.

Boki szkatułki zdobi wyszycie na wstążce z dobrego atłasu, koloru skóry lub niebieskiego. N. 28 podaje odpowiedni deseń szlaczku, który złotym sznureczkiem i czarnym kordonkiem powinien być odrobiony, środkowe zaś gwiazdki białym jedwabiem ze złotą perełką w środku.



N. 10. Kokarda do kołnierzyka z rozciętemi końcami.

N. 29 i 30. Szlaczki do kołnierzyka. przy rycinie 1 i 2 w N. 45 Ty. M.

N. 31. Woreczek na skrawki i kawałki.

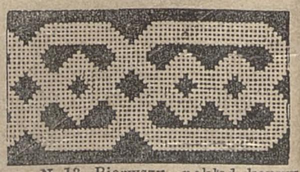
Rysunek liści na arkuszu z krojami N. XII fig. 25 i 26.

Materjał. Perkal szamoa, glansowana popielata dyma na

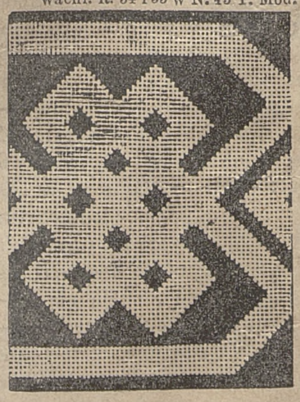


N. 6. Próbka haftu do lambrekiny ryciny 5.





N. 13. Pierwszy pokład kanwy papierowéj na bok do pudeł. od wachl. R. 34 i 35 w N. 45 T. Mód.

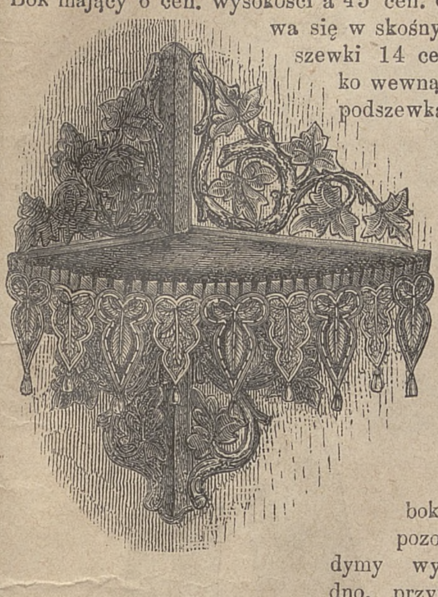


N. 14. Pierwszy pokład kanwy na wieczko do pudełka ryc. 34 — 35 w N. 45 Tyg. Mód.

N. 11—12. Ubranie z tuniką i karoczkiem „Kostium Bismark“ Krój i deseń wyszycia na dodatku N. III Fig. 6—11a. Zobacz. rękawy ryc. 31 i 32 w Ty. Mód N. 45

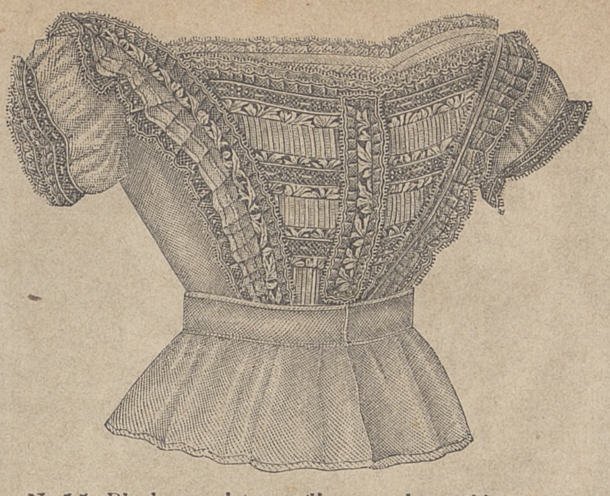
podszewkę, czarny jedwab, biały sznurek.

Woreczek ten służyć może do zachowania różnych pozostałych resztek nici i kawałków, od roboty sukien i bielizny lub do przechowania drobnych robótek. Za podstawę służy okrągłe denko z tektury i takiż pas w okrąg złączony stanowiący boki, które niepowinny być ze sobą sklejone, tylko pozostawione oddzielnie. Bok mający 6 cen. wysokości a 45 cen. obwodu, zaszywa się w skośny kawałek podszewki 14 cen. szeroki; denko wewnątrz pokrywa się podszewką, przykłada do boku, przy którym pozostałe brzegi dymy wywijają się na dno, przymarszczone na mocną nitkę i tak przyciągnięte, iż łączą ścisle obie części ze sobą.

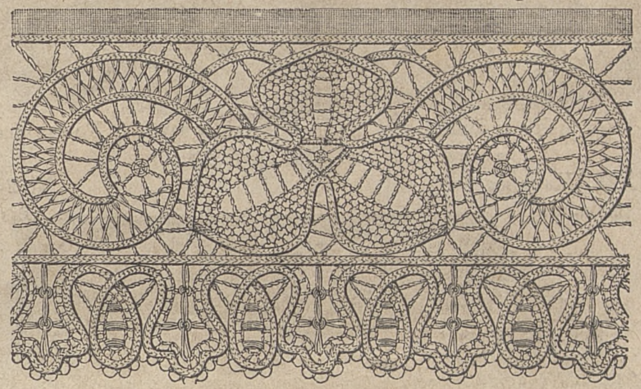


N. 16. Narożna pułeczka z lambrekiną. Wzór liścia na arkuszu dodatkowym. N. 9.

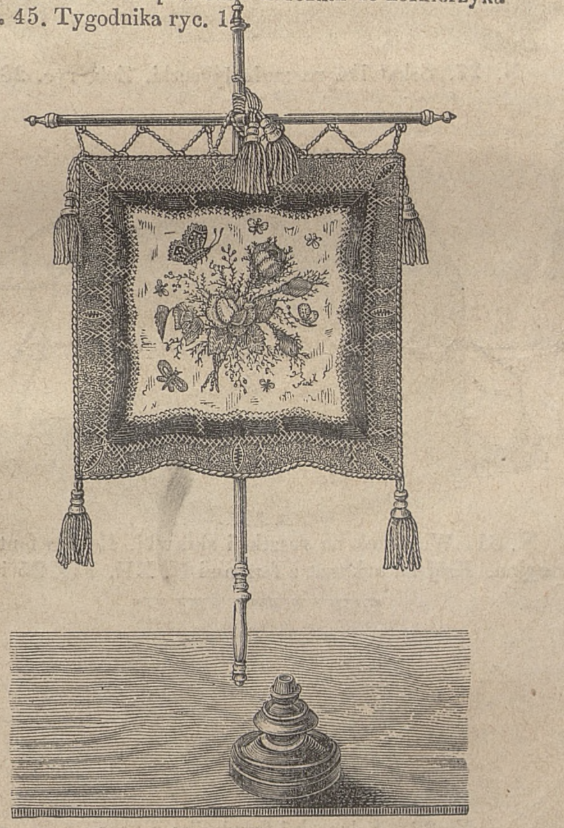
Na zwierzchnie pokrycie bierze się podwójny prosty kawałek perkalu, którego długość odpowiadać powinna objętości woreczka, a szerokość 34 cen. wynosi; w dolną część pokrywającą formę z tektury, między podwójny perkal przestębnowywać czarnym jedwabiem, rząd koło rządu idący sznureczek. Poczem denko pokryć od spodu perkalem, przyczepić do niego uszyty wierzch woreczka. w którym u góry odrobić czarnym jedwabiem dziurki i przewlec do ściągania czarny sznurek z kwastami. Osiem większych i mniejszych liści, stanowiących ozdobę woreczka. odrysować osobno na perkalu podług podanego na arkuszu z krojami wzoru; większe podłożyć tylko popielatą dymą, odziergać brzegi i kontury czarnym jedwabiem i wyciąć starannie. U góry dla



N. 15. Bluzka wycięta muślinowa z karoczkiem pod spód. Krój w dodatku z formami N. II Fig. 55.



N. 18. Szlak do rękawków. Robota koronkowa i wązka plecioneczka. Odpowiedni narożnik do kołnierzyka w N. 45. Tygodnika ryc. 14.



N. 19. Zasłona do świecy lub od ognia kominkowego. Deseń na arkuszu dodatkowym N. 27.

na mocną nitkę perełki kryształowe, kredowe i czarne. Stopniowanie kolorów widocznejest na rysunku.

N. 33 i 34. Opis i krój w dodatku z krojami.

Opis do N. 45.

N. 1—3. Kołnierzyk imankiet płócienny z haftem gipiurowym, oraz kokarda do kołnierzyka i do włosów.

Desenie na haft w N. 44 Ty. ryc. 29—30.

Dwa razy stębnowany kołnierzyk i mankietki z cieniutkiego płótna oszyte są szlaczkiem haftu gipiurowego tak dziś modnego.

Sam kołnierzyk w środku ma tylko 2 cen. szerokości ku przodowi trochę roższerzony i śpiczastym zębem zakończony.



N. 17. Li[illegible] do lambrekiny pr[illegible] narożnéj półeczce N. 16.

N. 2 przedstawia mankiet, formą zupełnie kołnierzykowi odpowiedni.

Moda nieustannie także obmyśla nowy układ szarf i kokard. Do bardzo zgrabnych śmiało zaliczyć można podane pod N. 1 — 3., ułożone z lila rypsu i fijołkowego aksamitu. Końce kokardy są skośne u góry, a prosto, w trójkąt ścięte u dołu; brzegi trójkątu 17 cen; długie wysiepują się na rysunku oznaczonym, przemarszczają w górze i przyszywają do kawałka sztywnego tiulu. Na wierzchu dana jedna kokarda z rypsu, druga oraz przepięcie z fijołkowego aksamitu.

Do włosów daje się tylko jeden cokolwiek większy koniec i jedna kokarda z rypsu, oraz kokarda i węzeł z aksamitu. Tegoż układu co do włosów tylko w zmniejszonym rozmiarze, jest kokarda do mankietów.

N. 4—5. Uczesanie włosów. Młode osoby mające piękne włosy mogą bez żadnych obcych nie miłych przydatków, czesać się podług wzorów przedstawionych. Rozdzieliwszy włosy na 3 części największą część tylną splata się i układa w okrąg, przy którym zakłada się zębami na zewnątrz grzebyk, jakie zwykle noszą małe dziewczynki przy odczesanych w tył włosach. W ten sposób założony grzebyk, stanowi niejako podstawę przednim włosom, które przez środek przedzielone, podnoszą się nad czołem i podczesują na skroniach, a następnie wysoko, prawie na środku głowy zaplatają w dwa warkocze około środkowego, owinięte. Z boku przypięta kokarda, najlepiéj dopełnia takie ubranie głowy.



N. 20. Kapelusz zimowy do wiązania pod brodę. Forma rondka na arkuszu z krojami N. VII F. 19.

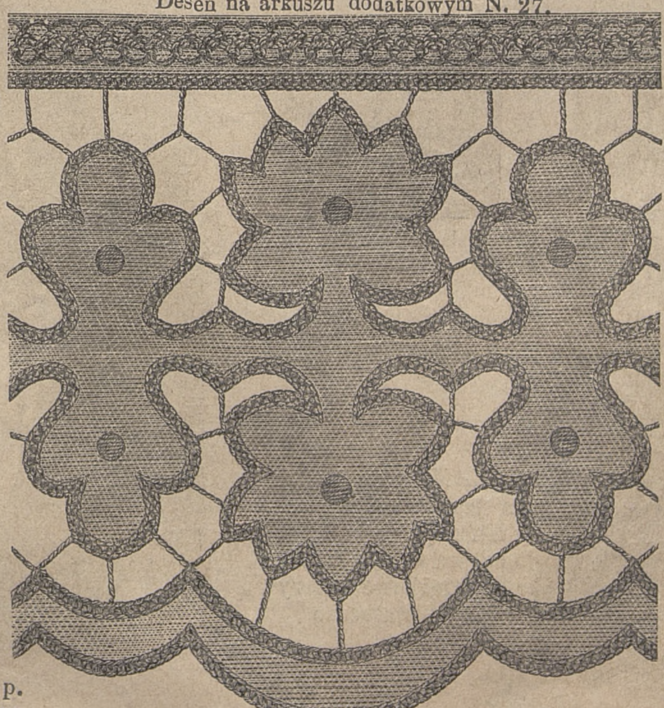
lepszéj sztywności dodać jeszcze perkal pod dymę, i połączyć liście ze sobą guzikami do prania, pokrytemi żółtym perkalem i wyszytemi czarnym jedwabiem.

N. 32. Szlaczek robiony perełkami, z takąż frendzlą.

Szlaczek powyższy służyć może do koszyczka na łyżeczki, lub do owoców, do popielniczki od cygar i. t. p. Skręcona frendzla przyrabia się do szlaczku, nawłócząc

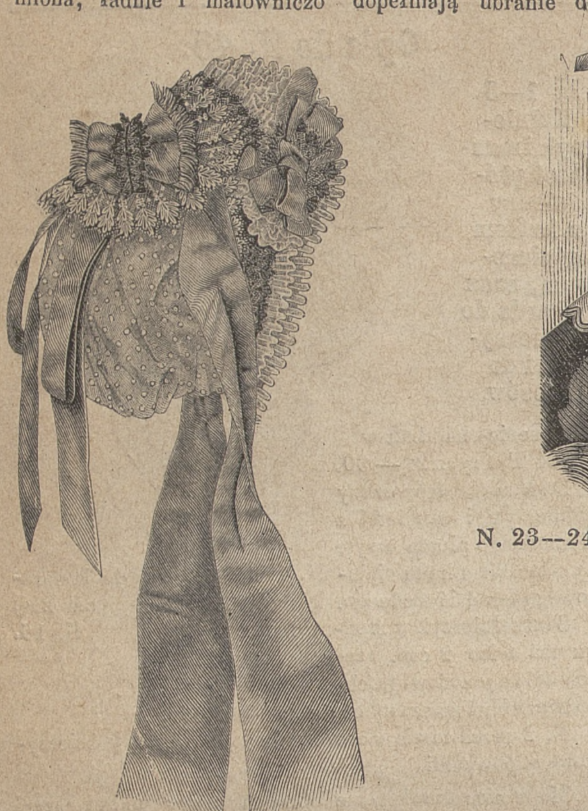


N. 21. Kapelusz zimowy odrysowany z boku lewego Krój rondka N. VII Fig: 19.



N. 22. Haft gipiurowy na grenadinie. Dzierganie podwójne. Szlak do ryc. 16 i 22 w N. 45 Tyg. Mód.

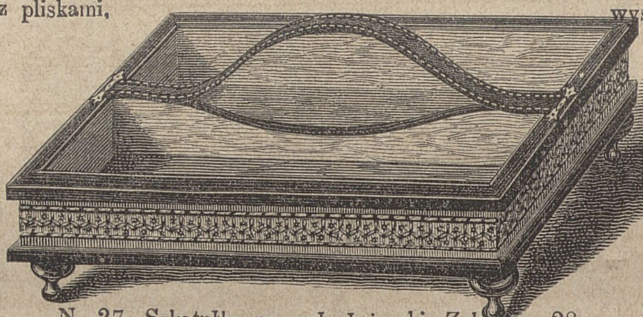
N. 6 — 7. Szalik w miejsce kaptura użyty do teatru. Do współzawodnictwa z ciągle używanemi baszłykami, występują szaliki w kolorach jasnych w guście tureckim, które zręcznie zarzucone na głowę lub ramiona, ładnie i malowniczo dopełniają ubranie do





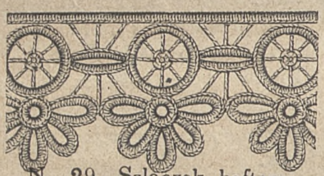
N. 23—24. Dwa jesienne kaftaniczki dla małych dziewczynek. Forma na arkuszu z krojami N. VI Fig. 17 i 18.
N. 23. Kaftanik z pliskami.
N. 24. Kaftanik wyszyty sznureczkiem.

N. 25. Czepek z wstążką szeroką dla osób starszych.

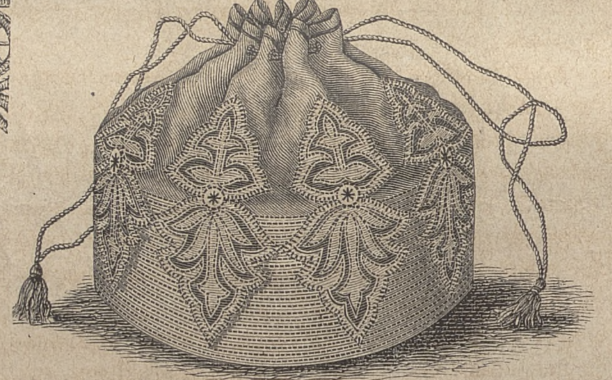


N. 27. Szkatułka na małe łyżeczki. Zob. ryc. 28.

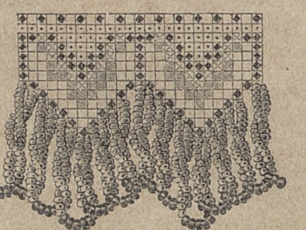
teatru. Szaliki te są albo całkiem wyrabiane z jedwabiu, albo z lekkiéj i miękkiej wełnianéj tkaniny, przerabianéj szlaczkami jedwabnemi. Oprócz pięknéj, szerokiéj frendzli, szalik mieć powinien 254 cen. długości a 60 cen. szerokości. Na środku szalika przy górnym brzegu, zakłada się parę fałdek, przykrytych kokardą z szerokiéj czarnéj aksamitki lub rypsowéj wstążki.



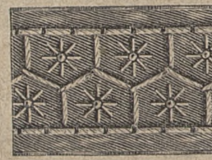
N. 29. Szlaczek haftem gipiurowym do kołnierzyka ryc. 1 w N. 45 Tyg. Mód.



N. 31. Woreczek na resztki i skrawki. Robota fantazyjna. Krój na arkuszu z formami N. XII. Fig. 25 i 26



N. 32. Szlaczek i frendzelka z perełek. Robota na kanwie.



N. 28. Szlaczek na bok szkatułki do ryc. 27.

KORESPONDENCJA.

Pani L. M. w Radomiu. Dla przesłania deseni do haftu potrzebne jest do adresu całe nazwisko, początkowe litery są niedostateczne.



N. 33. Stanik pod szyję z karoczkiem przy pasku. Krój karoczka na arkuszu z formami N. IV. Fig. 12 i 13.

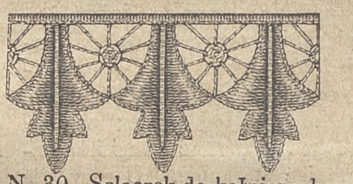
Dodana być także może riusza z aksamitki, która przy zarzuceniu na szyję naśladuje kapturek a przy zarzuceniu na głowę, dobrze ubiera do twarzy.

N. 18 i 19. krój i opis na dodatku z krojami.



N. 26. Czepek dla dam starszych, ubrany wstążeczką wązką.

N. 10. Ubranie z tiuniką dla małéj panienki. Tak powszechnie dziś używane, jedna na drugą zachodzące pliski służą do przystrojenia tego ubrania. Cztery takie pliski zakończone fałdowanym nagłówkiem, naszyte są na spódniczce; trzy przy szerokich rękawach i tunice, a dwie tylko przy karoczku stanika, na którym przy wykroju szyi naszyte pliski i riusza naśladują kołnierzyk. Dopełnienie garnirunku stanowi frendzla.



N. 30. Szlaczek do kołnierzyka Haft gipiurowy ryc. 1 w N. 45 Ty. Mód.



N. 34. Stanik z baskiną i kołnierzyk chusteczkowy. Krój stanika jak do ryciny 3. Deseń i forma kołnierzyka na arkuszu z formami N. VIII Fig. 20.

Dodatek do Nr. 44 i 45 Tygodnika Mód w Warszawie.

1871 roku.

Nr. I. Stanik pod szyję z krótkim karoczkiem.

Rycina 3 i 34 w nr. 44 Tygo: Mód.

Miara połowy objętości; 43 centy: w górze, 30 cent. w pasie.

Fig. 1 Przód stanika (A, B, E, F, G,)
Fig. 1-a Małe wyobrażenie przodu stanika.
Fig. 2 Boczek (A, B, C, D,)
Fig. 2-a Zmniejszony rysunek boczku.
Fiy. 3 Połowa pleców (C, D, E, F,)
Fig. 3-a Zmniejszony format połowy pleców.
Fig. 4 Rękaw (G, H, I, K' L,)
Fig. 4-a Zmniejszony rękaw wraz z ubraniem.

Najmodniejszą materją na ślubne suknie jest ryps jedwabny albo gładka tafta. Atłas a tembardziej moire antique, mniej są używane, chociaż okazalsze i wspanialsze. Tylne bryty spódnicy powinny być dosyć długie; od przodu o 60—70 cen. garnirunku nie daje się żadnego. Stanik gładki, pod szyję, z krótką baskiną, jest w koło podwójną pliską objęty i oszyty prawdziwą 6 cen. szeroką koronką. Z przodu przy zapięciu i z tyłu przy baskinie, przypięte kokardy z pięknej rypsowej wstążki. Do rękawów obcisłych dodana jest część oddzielna, która nadaje im kształt rękawów szerokich; część ta naszywa się wolantami z koronki i ubiera kokardami. Jest ona oznaczona na figu. 4: a dokładne wyobrażenie całości, podaje mała fig. 4-a. Przód takiegoż stanika z rękawami wązkiemi, przedstawia rycina 34.

Welony ślubne zawsze najmodniejsze są z iluzji szerokiej, na umyślnie na ten cel tkanéj, bez obrąbka i bez żadnego oszycia, przypięte w ten sposób jak na rycinie 3 albo też spuszczone z przodu na twarz aż do pasa, i przyciśnięte wianeczkiem ślubnym.

Nr. II. Bluzka wycięta.

Rycina 15 w nr. 44 Tygodnika Mód.

Fig. 5 Połowa przodu i pleców bluzki (M, N, O, P, *)

Na Figurze 5 podług któréj przykrawa się przód i plecy, są linjami oznaczone miejsca, w których daje się poprzeczne wstawki i szelki. Zupełnie jednakowo z przodu i na plecach przystrojona szmizetka, składa się z poprzecznych, w drobne zakładki układanych pasków muślinu i ze wstawek koronkowych 2 cent. szerokich, z brzegów aplikacją haftu przyozdobionych. Wstawka z siatki gipiurowej lub irlandzkiej koronki będzie także bardzo właściwą i ładną. Pod wstawki podłożyć trzeba kolorową wstążkę. Pod spód idący brzeg przodu, zakończa się listewką 3 cent. szeroką zwierzchni brzeg zakładą, przyozdobioną aplikacją haftu i przyszytą w koło wązką marszczoną koronką. Taz sama koronka daje się dwa razy około wykroju stanika, i raz w koło szelek, które zrobione są z 3 cen. szerokiej muślinowej falbanki, zakończonej 1 cen. szerokim obrębem, a nad nim wąziutką zakładką; falbanki te przyszywa się do koronkowej wstawki. Dodamy jeszcze przestrogę iż zakładki na paskach muślinowych niepowinny bydź zaszywane, tylko równo zakładane. Jako dopełnienie bluzki, dodaje się zawsze u dołu prosty kawałek muślinu 12 cen. długi, 112 cen. szeroki, który się marszczy i przyszywa do pasa. Proste paski muślinu 72 cen. długie, 8 cen. w środku, a 4 centy. przy zeszyciu szerokie, stanowią krótkie rękawki, które u dołu są zmarszczone, do wstawki przyszyte i koronką oszyte; u góry także przymarszczone odpowiednio do wykroju pachy, tworzą zręczną bufkę.

Nr. III. Suknia z tiuniką i karoczkiem zwana Kostium „Bismark"

Rycina 11 i 12 w 44 Tygo. Mód i ry. 31 i 32 w nr. 45

Fig. 6 Przód stanu i tiuniki oraz deseń szlaku (Q, R, V, W, X.)
Fig. 6-a Zmniejszony rysunek całości przodu wraz z tiuniką.
Fig. 7 Boczek wraz z karoczkiem. (Q, R, S T, U,)
Fig. 7-a Zmniejszony boczek wraz z karoczkiem
Fig. 8 Połowa pleców i karoczka (S, T, U, V, W,)
Fig. 8-a Zmniejszone plecy z karoczkiem.
Fig. 9 Wskazanie sposobu krajania tylnych brytów tiuniki.
Fig. 10 Zwierzchnia część rękawa (X, Y, Z,)
Fig. 11 Dolna część rękawa (X, Y, Z,)
Fig. 10 i 11-a Zmniejszony rysunek obydwóch części rękawa.

Przody stanika i tiuniki krają się razem, bryty zaś tylne osobno, a następnie przyszywają do pleców i boczków karoczkiem. Brak miejsca niedozwolił nam podać ich formy, lecz na figurze 9 załączamy miarę szerokości i długości, oraz oznaczamy ilość i stopniowanie zaokrąglenia u dołu i kliniastego ścięcia boków. Małe wzory pojedynczych części stanika i rękawów, ułatwiają zrozumienie całości i objaśniają sposób połączenia tychże części. W nr. 45 Tygodnika podamy z wierzchu i ze spodu rysunek zeszytego rękawa, który przedstawia się strojnie jak rękaw szeroki, a jednak jest koło ręki obciśnięty i nie naraża na zaziębienie. Przeznaczony na obecną zimną porę kostium, powinien mieć cały stanik podszyty ciepłą flanelą, karoczek zaś należy podszyć muślinem sztywnym.

Rycina 11 i 12 przedstawia kostium z przodu i z tyłu, oraz dwa rodzaje garnirunku. Nr. 11 jest z fijołkowego wełnianego rypsu, z plisami z czarnego aksamitu, na których jeszcze naszyta koronka czarna irlandzka, odrobiona podług nr. 12 w nr. 45 Tygodnika. Strojny ten dodatek nie jest jednak konieczny. Plisa przy spódnicy ma 8 cen. a przy staniku i tiunice 4 cen. szerokości. Kostium rycina nr. 12 jest brązowy, w odcieniu powszechnie używanym i znanym pod nazwą „Bismark". Oprócz plis z ciemniejszego aksamitu, dodane wyszycie sznurkiem jedwabnym, (na które deseń znajduje się na formie,) i frendzla wiązana jedwabna.

Nr. IV. Karoczek przyszyty do pasa, użyty przy staniku pod szyję.

Rycina 33 w nr. 44 Tygodnika Mód.

Fig. 12 Część przednia karoczka (a, b.)
Fig. 13 Połowa tylnej części karoczka (a, b,)

Wełniana jasno brązowa suknia, przybrana jest plisami z ciemniejszego jedwabnego rypsu z wypustkami jasnemi. Na spódnicy 3 stopniowo zwężane plisy, mają 6, 5, i 4 cen. szerokości, przy karoczku zaś i staniku tylko $2^{1}/_{2}$ centymetra. Górną część aż po za łokieć wązkich rękawów, przykrawa się podług fig. 4; część dolną stanowi mankiet skośny, od łokcia przyszyty, 18 cen: długi i o tyle szeroki, żeby boczne zaokrąglone brzegi, zachodziły na siebie i były kokardą spięte, jak to wskazuje ry. 33. Pod karoczkiem daje się podszewka jedwabna tego co plisy koloru, która widzialna przy założeniu fałdy, podwyższa strojność sukni. Karoczek przyszywa się do paska rypsowego 4 cen. szerokiego, w górze objętego jasną wypustką, z przodu zakończonego kokardą.

Nr. V. Zwierzchnia suknia dla dziewczynek od 7 do 10 lat.

Rysunek 8 i 9 w nr. 45 Tygodnika Mód.

Fig. 14 Przód (c, d, e, f,)
Fig. 14-a Zmniejszony rysunek przodu.
Fig. 15 Połowa pleców i część górna spódnicy, (której część dolną wypada podług obrachunku dopełnić (c, d, e,)
Fig. 15-a Zmniejszony rysunek całéj części tylnéj.

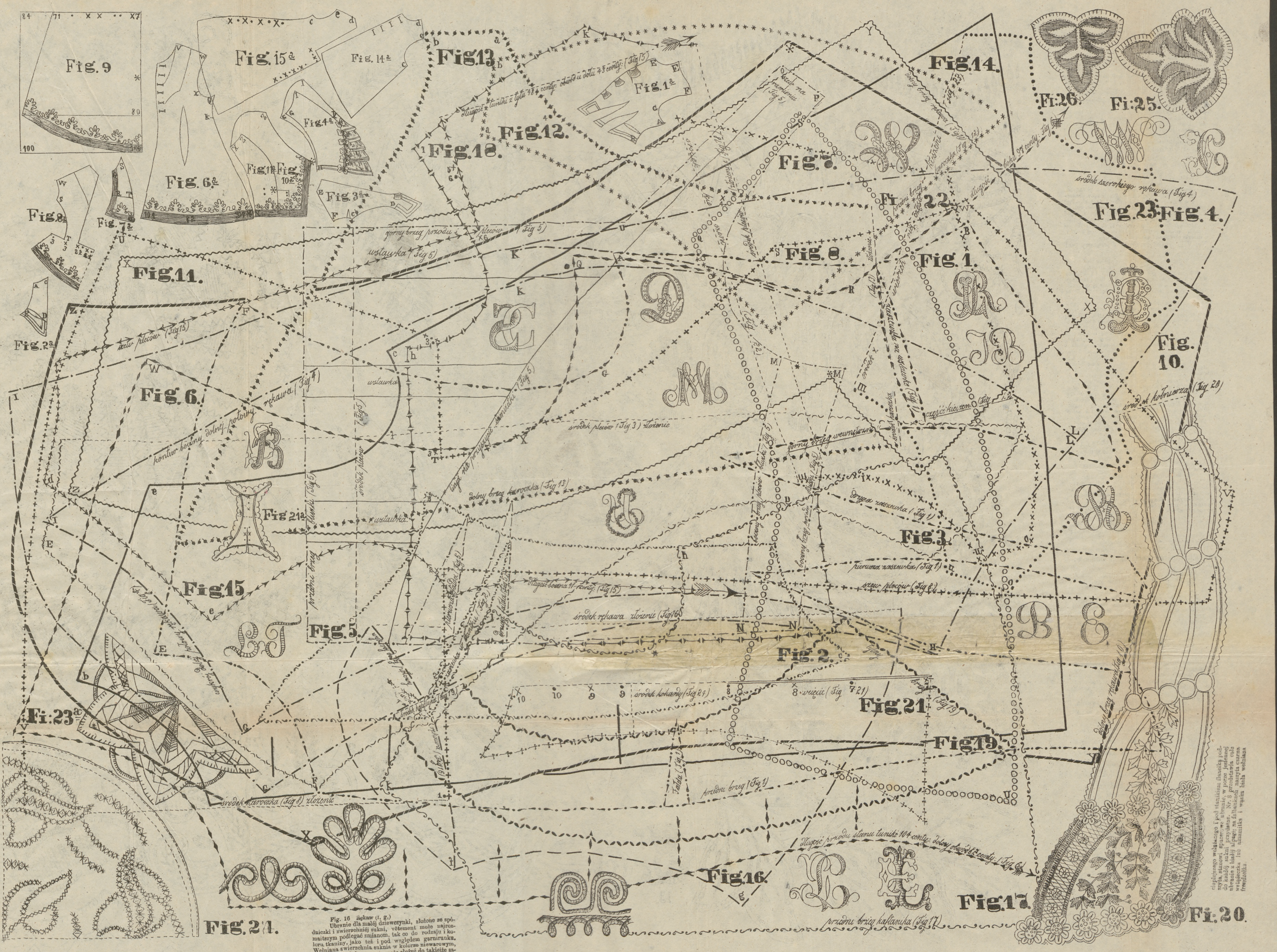


Fig. 16 Rękaw (f, g,)

Ubranie dla małéj dziewczynki, złożone ze spódniczki i zwierzchniéj sukni, vêtement może najrozmaitszym podlegać zmianom, tak co do rodzaju i koloru tkaniny, jako też i pod względem garnirunku. Wełniana zwierzchnia suknia w kolorze niewarowym, popielatym lub brązowym może służyć do takiejże samej spódniczki, lub być noszona przy innych nawet podniszczonych sukienkach. Odrobiona z wyrobu cieplejszego wełnianego i pod stanikiem flanelką podszyta, stanowi spacerowe ubranie, w porze jesiennej do każdéj sukni przydatne. Nr. 8 przedstawia całe ubranie z białej alpagi; na falbankach naszyta czarna wstążeczka lub aksamitka i wązka biała wełniana frendzelka.

Ubranie podane na rycinie 9 jest także wełniane w kolorze écru, oszyte falbankami z białego batystu, co nader świeżo i strojnie wygląda. Falbana naszyta na sukni ma 10 cen. szerokości, przy tiunice $7\frac{1}{2}$, a przy rękawach tylko 5 centymetrów. Wszystkie falbanki jak to widzimy przyozdobione są 3-ma zakładkami, i oszyte koroneczką 4 cen. szeroką. Mało nadmarszczone falbanki, zakończa się w górze stębnowaną pliską $\frac{3}{4}$ cen. szeroką, z pod której wychodzi w kontrafałdy ułożony nagłówek z dubeltowego batystu, $1\frac{1}{2}$ cen. szeroki. Przy wykroju szyi naszyta do góry batystowa fałbaneczka, a na dół daną marszczona koronka, na których zetknięciu przystębnowana pliska. Dłuższe boki tylnych brytów, nadmarszcza się lub przyfałdowywa w miejscach na małym rysunku wskazanych, i zeszywa z przodem; na środku zakłada się 4 fałdki, które także są na formie oznaczone.

Nr. VI Kaftanik jesienny dla dziewczynki od 2 do 4 lat.

Rycina 23 i 24 w nr. 44 Tygodnika Mód.
Fig. 17 Przód kaftanika.
Fig. 18 Połowa pleców (h, i, k, l)
Rękaw podług figury 16.

Rycina 23 przedstawia kaftaniczek z białej flanelki, którego dół i rękawy wycięte w okrągłe zęby, zakończone są dwiema pliskami z pąsowej flanelki. Pięć cent. wyżej przystębnowana jest 2 razy pąsowym jedwabiem, pliska z flanelki $2\frac{1}{2}$ cent. szeroka, z pod brzegów której wystają 2 rzędy pąsowych ząbków; takiż sam garnirunek dany przy wykroju szyi. Do zapinania z przodu przyszyte guziki z perłowej konchy, a dziurki obrobione pąsowym jedwabiem.

Nr. VII. Kapelusz zimowy wiązany pod brodą.

Rycina 20 i 21 w nr. 44 Tygodnika Mód
Fig. 19 Połowa rondka do kapelusza.

Model na rycinie podany, odrobiony był z aksamitu w dwóch cieniach, to jest fijołkowego i lila; przybrany zaś wstążkami rypsowemi w dwóch jaśniejszych cieniach i piórami rajskiego ptaka. Na foremce z drutu daje się płótno sztywne jako podstawę, aksamit fijołkowy jako zwierzchnie pokrycie rondka, a ryps tegoż koloru jako podszewkę. Podwójna wypustka przy rondku jest z aksamitu fijołkowego i lila. Główkę układa się z kawałka fijołkowego aksamitu 40 cen. szerokiego, a 60 cen. długiego, którego brzegi są nieco zaokrąglone, a który z przodu układa się w 5 a z tyłu w 3 kontrafałdy, i przyszywa do rondka. Środkiem główki, od spodu, daje się w poprzek pałąkowato zgięty pasek sztywnego tiulu, (20 cen. długi, 2 cen. szeroki,) którego końce przyszyte są do rondka. Luźne koło główki przepasanie 5 cen. szerokie a 30 cen. długie, składa się z dwóch plisek aksamitnych, fijołkowej i lila, podszytych muślinem sztywnym. Jak to widać na rysunku 21 z lewej strony kapelusza przypięta jest do tegoż przepasania suta kokarda, z końcami krótkiemi siepanemi, z pod której spada w tył rajskie pióro. Z prawej zaś strony przypięty do główki węzeł i długi frendzlą oszyty koniec, ze wstążki 16 cen. szerokiej. Jak ubranie kapelusza, tak samo i końce pod brodę, są ze wstążek dwojakiej szerokości i dwóch odcieni. Nad czołem rondko po garnirowane jest sutą riuszą, z tiulu jedwabnego i wązkim rulonikiem z aksamitu,

Nr. VIII. Kołnierzyk szmizetkowy i rękawki z koronki i haftu atłaskowego.

Rycina 34 w Tyg. Mód nr. 44.
Fig. 20 Forma połowy kołnierzyka, wraz z deseniem do haftu.

Stanik z krótką baskiną z tyłu i szerokiemi rękawami, podany na ry. 3-ciéj, jako ubranie panny młodej, tutaj przedstawiony jest z przodu, z rękawami wązkiemi. Forma i deseń pięknego szmizetkowego kołnierzyka, podany jest na fig. 20. Deseń przerysować potrzeba na batyście, a z brzegów przyfastrygować koronkową wstawkę, która powinna być z obydwóch stron przydziergana, (sposobem na fig. 20 wskazanym), a następnie tło batystowe z pod niej wycięte. W koło brzegów dodaje się marszczoną, 2 cen. szeroką koronkę. Pod wązkie rękawki, dodane są do paska przyszyte falbany odpowiednie kołnierzykowi.

Nr. IX. Kokarda do kołnierzyka z podwójnemi marszczonemi końcami z koronki.

Rycina 9 w nr. 44 Tygodnika Mód.
Fig. 21 Połowa środkowej części kokardy.
Fig. 21-a Zmniejszony rysunek całéj środkowéj części kokardy.

Kokarda powyższa, wstążką kolorową przyozdobiona, zarówno zrobiona być może z tiulu i koronki białéj, jak i z czarnéj. Podług formy na fig. 21 podanej, przykrawa się z tiulu złożonego we dwoje, część środkową, którą następnie oszywa się w koło gładko koronką 3 cent. szeroką pamiętając że od oznaczenia na formie, lewastrona wywinie się na prawo. Na wszystkich 4 rogach potrzeba końce przedłużyć i koronką zeszyć środkiem ze sobą, na $6\frac{1}{2}$ cen: długości, sposobem na ryc. 9 wskazanym. Jak to jest na formie i fig. 21-a oznaczone, szerszy koniec nacina się w środku, wzdłuż na $10\frac{1}{2}$ cent: układa w fałdki krzyżykami i liczbami oznaczone oddzielnie w każdej połowie, przepina węzłem z kolorowej wstążki, której wysiepane, długie końce daje się pod tiulowe, następnie końce dłuższe od spodu, przymarszczają się i układają jak rysunek wskazuje.

Nr. X. Torebka męzka do polowania.

Rycina 7 w nr. 44 i rycina 25 i 26 w nr. 45 Tygodnika Mód.

Rozety z tasiemki szaréj, łączone kratką koronkową z nici szarych stanowią pokrycie torby myśliwskiej.

Fig. 22 Połowa dolnej i zwierzchiej części właściwej torebki.
Fig. 23 Połowa, na wierzch dodanej ozdoby torebki.
Fig. 23-a Połowa gwiazdy do torebki.

Nr. XI. Poduszeczka do śpilek z książeczką do notowania bielizny.

Rycina 17--20 w nr. 45 Tygodnika.
Fig. 24. Czwarta część pokrycia poduszki, wraz z deseniem do wyszycia.
Opis roboty podany w Tygodniku Mód.

Nr. XII. Woreczek na resztki i skrawki od wszelkich robót.

Rycina 31 w nr. 44 Tyg. Mód.
Fig. 25 Wzór większego liścia do wyszycia.
Fig. 26 Wzór liścia mniejszego. Szczegółowy opis roboty w Tygodniku Mód.

Między formami podajemy odrysowane rozmaite pojedyncze i połączone litery do znaczenia bielizny, tak do haftowania ściegiem płaskim, jak i do odrobienia stębnówką, sznureczkiem lub t. p.

